



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół., kwartal. 5 marek

Podróżnicy Afrykańscy.

Ostatni krwawy wybuch w Sudanie Egipskim przeciwko władzy kedywa stanowi niewątpliwie jedną z najbardziej tragicznych kart dziejów nowożytnych Afryki. Powstanie to, które pod jednym sztandarem zgromadziło dzikie zastępy murzynów i arabów, ożywionych fanatycznym zapalem przez nowego proroka Mahmuda Ahmed-el-Mahdi, wywołanem zostało przez bezprzykładny ucisk i nadużycia egipskiego rządu. Jak rzeka, która gwałtownie zrywa łodowe okowy i pędem niepowstrzymanym rozlewa się szeroko, niszcząc i burząc przeszkody spotykane na drodze, tak płomień powstania w jednej prawie chwili ogarnął zemstą dyszące plemiona i krwawą rzeką rozlał się daleko, niosąc śmierć i spustoszenie.

Pierwszemi niemal ofiarami w tej walce byli, niestety, nie ci, przeciw którym podniesiono oręż w obronie swych praw lub przesądów, ale Europejczycy, zagnani w te odległe strony żądzą wiedzy i pragnieniem szerzenia cywilizacji pośród dzikich pokoleń, zamieszkałych u źródeł Nilu i dopływów Konga.

Szlachetny Gordon, którego dzieje znają czytelnicy, stał na czele tych usiłowań, popieranym z zapalem przez przedstawicieli wszystkich prawie narodów europejskich. Spotykamy też wśród zastępów jego współpracowników zarówno włoskie, jak angielskie i niemieckie nazwiska, a liczba ich świadczy o gotowości do ofiar i trudów tych synów cywilizowanego świata.

Pierwszem zadaniem wypraw europejskich było oddziaływanie moralne i polityczne na znie-

sienie haniebnego handlu niewolnikami, który, jak straszliwa klątwa, wciąż jeszcze ciąży nad owemi nieszczęsnymi ludami.

Najdzielniejszym niezaprzeczenie bojownikiem tej szlachetnej sprawy był włos Gassi, jeden z wybitniejszych pomocników i współdziałaczy Gordona. Dokładna znajomość ludów, wśród których z całą energią rozwinał on swą dobroczynną działalność, znajomość nabyta długoletnią pracą i licznymi podróżami, pozwalała mu skutecznie prowadzić walkę z okrutnym zwyczajem, jakkolwiek w jego obronie stawali gorliwie zagrożeni w zyskownych interessach swoich liczni handlarze niewolników oraz dzicy władcy tego żywego towaru.

Nie na tem przecież ograniczała się tutaj praca niestrudzonego pioniera cywilizacji: w jego pojęciu cele naukowe łączyły się z nią nierozdzielnie, a ponieważ okolice Afryki zwrotnikowe w sąsiedztwie górnego Nilu przedstawiają dotąd dla wiedzy wiele nierozwiązanych zagadek, zażądał więc od Europy odpowiednio przygotowanego i uzdolnionego człowieka, któryby się nie lękał podzielić z nim trudów i zdobyczy niełatwych odkryć.

Na to wezwanie pośpieszył natychmiast jeden ze współziomków Gassiego Włoch, rodem z okolic Mediolanu, major Gaetano Casati.

Major Casati urodził się w miasteczku Lesmo 1838 r. i był synem tamtejszego lekarza. Początkowe nauki pobierał w szkołach publicznych, w historycznym Monza, pierwotnej stolicy Longobardów, gdzie do dnia dzisiejszego można oglądać w katedralnym skarbcu słynną „koronę żelazną” Lombardów, wykutą jak twierdzi tradycja z gwoźdźcia krzyża Świętego.

Ukończywszy gimnazjum w Mediolanie, młodzienc Casati poświęcił się głównie studjom matematycznym na uniwersytecie w Pawii.

Rok 1859-ty zastał go jeszcze przy tej pracy, ale na odgłos walki Włoch z Austrią pośpieszył

Casati, z prawdziwie młodzieńczym zapalem szeregi słynnego korpusu Bersalierów i zyskał wkrótce szlify oficerskie. W roku 1866-tym brał czynny udział w ostatniej wojnie włoskiej, a następnie, w stopniu kapitana wysłany został na południe, gdzie przez lat 11 walczył i pracował nad wytępieniem bandytyzmu, prawdziwej plagi w tamtych stronach. Dopełniwszy tego zadania, powrócił jako major do głównego sztabu, gdzie przez lat parę pracował w dziedzinie geografii i poczęści nauk przyrodniczych.

Nie wystarczało mu to jednak i nie zaspakajało rozbudzonego nanowo pragnienia odkryć i wiedzy: to też w roku 1879 podał się wreszcie do dymisji. Prośby i namowy zwierzchników, a nawet przedstawienia samego ministra wojny, nie zdołały go skłonić do zmiany postanowienia. Usunawszy się ze służby wojskowej, poświęcił się Casati wyłącznie ulubionym pracom naukowym i wkrótce jako stały współpracownik wstąpił do redakcji słynnego geograficznego organu „L'Esploratore.”

Tu zastało go wezwanie Gassiego. Na głos ten pośpieszył bez wahania, pomimo przestróg przyjaciół, zwracających mu uwagę na liczne niebezpieczeństwa, grożące na każdym kroku Europejczycowi w tem wnętrzu Afryki, która, jak zwoźnicza syrena, nęci tajemniczością nieznanymi uroków, by następnie bez litości zgubić zuchwałego śmiałka.

Dnia 24-go Grudnia 1879 roku, w samą wigilię Bożego Narodzenia, Gaetano Casati wypłynął z Genui do Suakimu, a ztamtąd Nilem podążył wkrótce do Chartumu, gdzie Gassi oczekiwał na niego, by wskazać dalszy plan podróży. Chodziło mianowicie o jedną z odleglejszych i znacznie szerszych stacyi handlu niewolnikami, której położenie przedewszystkiem należało zbadać dokładnie, zanimby jakikolwiek plan działania można było ułożyć.

Major Casati przybył już do Chartumu chory: nie oddycha się bezkarnie powietrzem afrykańskim. Wyżewy Nilu i chłodne noce po dniach skwarnych spowodowały silną febrę, która na samo wstąpienie do nowego życia o mało nie położyła kresu dalszym zamiarom. Ale troskliwa opieka i gorliwy ratunek ze strony Gassiego ocalili życie nowoprzybytemu. Ta okoliczność przyczyniła się niemało do wzmocnienia pomiędzy nimi węzłów najściślejszej przyjaźni i szczerzej wzajemnej sympatii.

Lecz generał-gubernator Sudanu wymagał, by „pasza Gassi“ nie opuszczał Chartumu: trzeba się więc było rozłączyć, niestety, nazawsze.

Przestraszającym jest niemal opis cierpień i trudów przebytych w wyprawie Gassiego do źródeł Białego Nilu. Podróż wodą z dniem każdym stawała się trudniejszą, olbrzymie skały i korzenie splecione w jedną nieprzebytą masę nieznanym wodnym roślinom zwrotnikowym, tamowały drogę bezustannie. Nie pomogła energia i nadludzkie prawie wysilenia dobranych towarzyszy tej śmiałej wyprawy. Położenie stało się wreszcie bez wyjścia: trujące wyżewy błot sąsiednich dziesiątkowały załogę, głód doprowadził nieszczęśliwych do kanibalizmu, sam Gassi stracił już wszelką nadzieję ocalenia, gdy przybył wreszcie pożądany ratunek.

Casati udał się wtedy w kierunku południowo-zachodnim, pragnąc przedewszystkiem rozwiązać tajemnicę ujścia licznych rzek i strumieni, przepływających tę płaszczyznę, którą jedni wraz ze Schweinfurtem uważali za dopływ wielkiego środkowego jeziora Sudanu *Czad*, inni — na podstawie dokładniejszych już badań Juncker'a, poczytywali za część systemu rzeki Kongo. Ci ostatni — jak najnowsze wykazały badania — mieli rzeczywiście słusność; Casati zaś w tej wyprawie był o tyle szczęśliwym, że spotkał się tu ze sławionym i doświadczonym już badaczem, pomienionym Junckerem, który mógł mu nieocenionych udzielić wskazówek.

Z prawdziwie włoską werwą i żywością opisuje nam niestrudzony podróżnik swój pobyt na dworze jednego z najpotężniejszych sułtanów środkowej Afryki, który przypomina nam pomimo wolnie odległe pierwotne dzieje ludów europejskich, zaczawszy od królewskiego pałacu otoczonego drewnianą palisadą, — na której zatknięte głowy nieprzyjaciół stanowią najcenniejszą ozdobę, aż do pułara możnego władcy z czaszki zabitego wroga, ale przytem i czci oddawanej sławnym przodkom i poszanowania ich kości, — do dziś dnia utrzymującego się wśród społeczeństw ucywilizowanych.

Lecz pobyt i gościnne przyjęcie na dworach sułtanów Manbanga, Azanga, Bakangoi, Kauna, Abaka, Niam-Niam, Monbuttu, i t. p. niedługo trwały. Życzliwość zastąpiły wkrótce niechęć i niedowierzanie. I nic dziwnego. Świeży przykład mówił tym dzikim monarchom, że wślad za podobnymi odwiedzinami idą zwykle przeszkody stawiane handlowi niewolników i nierówna wojna, kończąca się zawsze spustoszeniem kraju i pozbawieniem go nazawsze niezależności. Przyczyniały się do tego niejasne jeszcze i nieokreślone poddmuchy religijnego fanatyzmu Arabów, który umiał skorzystać z ucisku egipskich prowincji, by porwać je z sobą do wspólnego działania i szeroko poza granice posiadłości Kedywa rozrzucić żarzewie wojny.

Celem i dążeniem egipskiego rządu nie była nigdy chęć zapewnienia poddanym swoim względnie choćby bezpieczeństwa i dobrobytu; szło tu jedynie o to, by z posiadanych krajów jak największe wyciągnąć korzyści. Los, nędza, cierpienia niewiernych cóż obchodzić mogą prawego muzułmanina? Wszak to przeznaczenie gjaurów, by żyli w poddaństwie i ucisku?

Tem tylko sobie wytłómaczyć można, że władze egipskie tak chętnie wspierały szlachetne usiłowania Gordona i Chrześcijańskiego Związku zniesienia nieludzkiego handlu niewolnikami w południowych krajach niepodległych, a jednocześnie tak uparcie broniły go i osłaniały u siebie. To wyjaśnia nam także: dlaczego z taką bezprzykładną łatwością powstanie Mahmuda

starło wszelki ślad powierzchownej cywilizacji europejskiej w Egipcie.

Po tem wulkanicznym wstrząśnieniu jednym z nielicznych Europejczyków, jacy zachowali niebezpieczne swoje stanowiska, był doktor Edward Schnitzer, znany lepiej pod tureckim imieniem Emin, gubernator podrównikowych prowincji Egiptu, który za położone w walce z Arabami zasługi podniesiony został do godności paszy a wkrótce potem Excellencyi.

U niego-to Casati znalazł bezpieczne i życzliwe przyjęcie, gdy zmuszony był śpieszną ucieczką ratować się z państwa Monbuttu.

„Od dwóch tygodni jestem gościem u Emina paszy, — i korzystam z jego niezrównanej dobroci“ — pisze sam Casati d. 13 Kwietnia 1883 r.

Wkrótce zjawiał się tu także i dr. Juncker po czteroletnim niestrudzonej badaniu śródkowej Afryki, gdy zamierzał wrócić do kraju, zatrzymany w drodze jedynie przez wybuch powstania Mahmuda, które cały Sudan Egipski zmieniło w krwawy plac boju. Tak pośród burzy szalejącej wokoło trzej ci mężowie znaleźli się niespodzianie na jednym z najbardziej oddalonych od Europy punktów wrogo im świata, zamknięci i otoczeni zewsząd groźną im zgubą, gdyż władza paszy na tem większe jedynie narażała niebezpieczeństwo odważnego Europejczyka.

I w tem przecież odosobnieniu wytrwali pracownicy nie tracili z oczu swych celów, prowadząc dalej rozpoczęte studia i badania, i w obliczu groźącej śmierci notując zdobycze wiedzy i odkrycia naukowe. Casati mianowicie, korzystając z przymusowego wypoczynku, porządkował i uzupełniał swoje geograficzne notatki. Emin pasza spisywał gorliwie długoletnie spostrzeżenia nad światem organicznym śródkowej Afryki.

W roku 1886 rozstali się nareszcie towarzysze niedoli. Juncker przez Ugandę dostał się do Zanzibaru, z kąd mógł swobodnie powrócić do Europy, a niesyty przygód i wiedzy Casati udał się w poselstwie od Emina paszy do króla Kabregi czyli Czua, panującego w potężnym państwie Unjoro nad jeziorem Albert Njanza.

Emin pozostał w Wadelai.

Przyjęcie Casatego w Dzinja, stolicy czarnego władcy, było wielkie obiecujące, lecz w nader krótkim czasie położenie jego stało się niezmierzenie groźnem. Kabrega, jak wszyscy bez wyjątku monarchowie afrykańscy, podlegał potężnym wpływom wrogo dla Europejczyków usposobionej partii swego dworu. Obecnie obawy jego podnieciły wieści o zbliżającej się wyprawie Stanleja, która w ustach jego doradców przybrała nadzwyczaj groźne i zatrważające rozmiary. Opowiadano o zabórzych celach afrykańskiego podróżnika, i bezsilny gniew Kabregi zwrócił się naturalnie przedewszystkiem przeciw białemu gościowi i jego towarzyszom.

Schwytanych przywiązano do drzewa, przez noc całą odprawiając dokoła nieszczęśliwych więźniów dzikie tańce z akompaniamentem przeraźliwego wycia. Następnie skępowanych uprowadzono w głąb kraju, gdzie prawdopodobnie spotkałaby ich śmierć okrutna a trudna do pomszczenia, gdyby zawiadomiony o tych wypadkach Emin-pasza nie zjawił się szybko na ratunek i nie ocalił jeńców od nieuchronnej zguby.

Karząc wiarołomnego Kabregę za targnięcie się na osobę posła, Emin-pasza rozkazał egipskim żołnierzom ogniem i mieczem spustoszyć wybrzeża Mwtanu, co wykonane zostało ze zwykłym w takich wypadkach okrucieństwem. Wojska afrykańskiego tyrana, znajdujące się na jeziorze, zostały zatopione wraz z łodziami kartaczowym ogniem kilku armat, w jakie zaopatrzony był wojenny parowiec gubernatora.

Sila i energia — to jedyne czynniki, które imponują władcom afrykańskim; łagodność dla nich jest cechą słabości. To też surowe postępowanie Emina szybko skłoniło czarnego monarchę do wznowienia z nim zerwanej przyjaźni i poddania się wszelkim wymaganiom i warunkom.

Wdzięczny za ocalenie życia, Casati postanowił w złej i dobrej doli nie opuszczać swego wybawcy, dopóki nie spłaci mu choć w części zaciągnię-

tego długu. Odmówił też naleganiom europejskich przyjaciół i współrodaków swoich, którzy pragnęli powrotu jego do kraju i otworzyli mu nawet w tym celu potrzebny kredyt w Zanzibarze.

„Przyrzekłem Eminowi paszy dopomóc do rozwiązania gordyjskiego węzła, jakim są wewnętrzne stosunki i urządzenia zbuntowanych prowincji egipskich, i uważam to za zobowiązanie za najpierwszy mój obowiązek“ — pisał jeszcze z Guidy do jednego z przyjaciół włoskich.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HENRYK HEINE.

Z CYKLU: AUF DER FREMDE.

(Mir träumte von einem schönen Kinde).

Widziałem we śnie me dziewczę,
Aniolka z główką płową;
Siedział pod lipą zemną
Nocą jasną, majową...

Szeptom, pieszczotom, łzom naszym
Przyszeptywał szum liści;
Z szafirów zorze patrzyły
Na nas okiem zawiści...

Wtem się zbudziłem. Noc głucha
Otaczała sierotę
I tylko z niebios pałały
Wysoko zorze złote.

Przełożył Adam Mielezko-Maliszkiewicz.

GARBUSKA.

POWIĘŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Widać było po niej, że jakaś walka odbywała się w jej duszy, że chciała przyzwyczaić się do tego życia, do tego otoczenia, w jakie los ją wtrącił, a nie mogła skutkiem długiego nawyknienia do zbytku i wygod. Lada drobnostka, która przypominała jej różnicę pomiędzy obecnym położeniem a dawniejszym, wyprowadzała ją z równowagi; wykrzywiony obcas u trzewika, przetarta na łokciach suknia, której nie mogła zastąpić nową, złamany stółek, zapach ordynarnego tytuniu, który palił organistę, czerwona twarz ojca, gdy podchmielony wracał wieczorem do domu, paplanie starej Francuzicy, — wszystko to drażniło ją i wywoływało oznaki żywego niezadowolenia.

Anielcia zauważyła, że działo się to szczególnie wtedy, gdy przypadkiem spotkała kogo z dawnych znajomych. Raz, na przykład, gdy przechodziła wieczorem koło teatru, elegancki powóz zajeżdżał właśnie przed drzwiami wchodowe i lokaj w liberyi wysadzał z powozu Lubską, ubraną

w jasną atlasową suknię, okrytą aksamitną rotundą, pachnącą, błyszczącą brylantami, jaśniejącą elegancją wytworną. Józia cofnęła się w ciemności, by dawna przyjaciółka nie zobaczyła jej idącej piechotą po błocie w lichym futerku, przerobionem z resztek starego futra. Biegła potem prędko do domu, jakby chciała uciec od tych wspomnień przeszłości, a one musiały widocznie gonić za nią jak Erynie, obsiadać jej umysł i serce i zająć ją całą, skoro nie odzywała się ani słowa do siostry przez całą drogę. W domu była tego wieczora nieznośna, w niczem jej dogodzić nie można było, wszystko było złe, pieczeń odgrzewana na kolacyą „obrzydlivą“ — herbata „niemożliwa“ — w pokoju duszno, brudno i nieznośny zapach, a gdy Anielcia, która jej przerabiała sukienkę, przyniosła ją do przymierzania, Józia zirytowana rzuciła sukienkę na ziemię, mówiąc opryskliwie: „Daj mi pokój z temi lachmanami, — nie nudź mnie“.

W kilka dni potem odebrała jakiś list pocztą. List był nieduży. Anielcia, spojrzawszy ukradkiem z boku, dostrzegła, że całego pisanego wewnątrz było zaledwie kilka wierszy, a jednak Józia czytała go bardzo długo a raczej długo wpatrywała się w niego zamyślona. Potem wstała i zaczęła chodzić żywo po małym pokoiku w kółko, gnana widocznie jakimiś niespokojnymi myślami; chodząc tak aż do umęczenia, a gdy znużoną usiadła, a raczej upadła na stół, siedziała długo nieruchoma, zapatrzona gdzieś daleko przed siebie, nieodzywając się do nikogo, nie słysząc nic, co do niej Anielcia mówiła.

Kiedy wieczorem wniesiono lampę do pokoju, przysiadła się bliżej światła do stolika, wyjęła list z kieszeni i znowu go odczytywała. Naraz, zobaczywszy dziewczynki swoje, wprowadzające z dziadków pokoju lalkę za obie ręce, wprowadzające pompą, rzuciła zmięty list na podłogę, pobiegła do dzieci, brała jedno po drugim na ręce i zaczęła je namiętnie, gwałtownie tulić do siebie i całować. Ten wybuch czułości, zamiast ucieszyć dzieci, przestraszył je tylko, zaczęły krzyścić i wydierać się matce, wołając, że im lalkę popsuje, że one chciały się bawić teraz z lalką, że lalka będzie teraz się ubierać, bo wyjedzie w powozie za granicę.

— Co? nie chcecie bawić się z matką? — zapytała patrząc się groźnie, z wyrzutem, błada od wewnętrznego wzburzenia. Nie chcecie?

Dziewczynki nic nie odpowiadały, patrząc się na siebie, to znowu na matkę. Z powarzonych ich miniek widać było wyraźnie, że nie miały wcale do tego ochoty, że niekontentne były z tego, iż im matka zepsuła zabawę.

— No, chodźcie do mamy, tu, do stolika — odezwiała się Anielcia, która była świadkiem tej sceny i bała się, żeby ona nie rozdrażniła matki — chodźcie tutaj: będziemy się bawić razem z mamą ładnie, pięknie.

Dzieciom nie w smak była ta propozycja, bo one ułożyły sobie już przedtem inny program zabawy.

— Kiedy my chciały z lalką za granicę — w wózekku jechać — do trzeciego pokoju.

— Ale skoro mama chce tutaj — persadowała Anielcia.

— Daj im pokój, — przerwała jej żywo Józia dzikim jakimś, gwałtownym głosem — niech sobie idą, gdzie chcą. Skoro im matka tak niepotrzebna — to i lepiej.

Otworzyła szafę i zaczęła się pośpiesznie ubierać.

— Gdzie idziesz? — spytała przestraszona Anielcia.

— Co ci do tego? — odparła zuchwale — i spojrzawszy wyzywająco na siostrę; ale łagodny jej wzrok, pełen życzliwości i prawie macierzyńskiej troskliwości rozbroił ją i łagodnie już odpowiedziała: — Idę do Lubskiej. Pocałowała garbuskę na pożegnanie, czego nigdy zwykle nie robiła. — Pamiętaj o dzieciach — rzekła — i wybiegła szybko z pokoju.

Anielcia, tknięta jakimś złem przeczuciem, pódniosła z ziemi liścik, spodziewając się znaleźć w nim wyjaśnienie dziwnego zachowania się siostry w dniu dzisiejszym; ale list był pisany po francuzku, czego Anielcia nie rozumiała. Trzeba

więc było poczekać, aż Francuzka powróci z lekcji do domu. Wyczekiwała jej niecierpliwie, bo podejrzaną wydawała jej się ta wizyta do Lubskiej, u której już od tak długiego czasu nie była. Zkąd jej to przyszło, teraz — tak nagle? dlaczego? — te pytania niepokoiły ją. To też ledwie usłyszała skrzypnięcie drzwi w drugim pokoju i po radosnem skomleniu psów domyśliła się, że to Francuzka wróciła, wnet pobiegła tam do niej z listem.

— Moja pani — prosiła — bądź pani tak dobrą przeczytać ten list, co on zawiera.

— Po fransoski pisana? — spytała, zakładając coprędzej duże okulary w rogowej oprawie.

— Tak, po francuzku.

— A do kogo ta bileta?

— Józia dostała ten list dzisiaj.

Francuzka przebiegała list oczyma. Anielcia przez ten czas wpatrywała się w nią niespokojnie, pragnąc z oczów i z twarzy jej wyczytać, czy nie zawierał co złego.

— To od mężczyzny — mówiła Francuzka, czytając.

— Od barona może? — podpowiedziała drżącym głosem Anielcia.

— Nie jest żadnego podpisu.

— Ale co zawiera? co zawiera?

— Ona ją prosiła, bars prosiła, soby pojechać z nim daleko — daleko — sa granica.

— To nieprawda, to być nie może, ja na to nie pozwolę — Ona nie może odjechać od dzieci — mówiła garbuska wdziękając pośpiesznie na siebie płaszczyk, kapelusz — a szło jej to niezręcznie, bo ręce skakały od wzruszenia gwałtownego i nie mogła znaleźć tego, co chciała, tak jej zaćmiło się w oczach.

— Gdzie ty lesiała głupa? — pytała Francuzka — nie wiedziała gdzie i leciała?

— Wiem, wiem, gdzie jest, znajdę ją, odszukam, przyprowadzę. Uważaj tu pani na dzieci, a przed rodzicami i ciotką ani słowa — żeby się nawet nie domyśli.

Wybiegła i szybkim, drobnym krokiem toczyła się jak kulka przez ulice. Niekształtna jej figurka przesuwiała jak cień koło latarni gazowych pomiędzy ludźmi, aż zginęła w bramie jasno oświetlonej sieni w domu, gdzie mieszkała Lubaska.

Wpadła do niej, jak bomba, zapytując się o siostrę. Ale Lubaska, wzruszając ramionami, odpowiedziała jej, że nie pamięta już odkąd jej siostry nie widziała na oczy.

— Tak, nie bywała tutaj, wiem o tem; ale dzisiaj wybrała się — mówiła mi, że tu idzie.

— To może przyjdzie — niech panna zaczeka w garderobie, — jeżeli taki pilny interes, — rzekła, aby się pozbyć coprędzej garbuski.

Ta jednak nie odchodziła, — chciała widocznie coś powiedzieć i nie mogła zdobyć się na to. Wreszcie spytała:

— Czy wielmożna pani nie wie — gdzie mieszka — ten pan, ten pan...

— Co za pan?

— Pan baron. Może on coś wie — dziś zdaje mi się siostra miała jakiś list od niego.

— A! więc dopiął swego? — zawołała Lubaska ucieszona. — No, spodziewałam się tego, baron nie lubi ustępować.

Mówiła więcej do siebie, niż do stojącej przed nią w pokornej postawie garbuska. Śmiech Lubskiej wydawał jej się potwornym, strasznym; niespokojnie patrzyła na nią, wreszcie zapytała:

— Proszę wielmożnej pani, a gdzie ten pan mieszka?

— Mieszka ztąd niedaleko; ale w tej chwili jest już Bóg wie gdzie. Był u mnie pożegnać się. Mówił, że wyjeżdża dziś o szóstej za granicę na długo. Jest już przeszło godzina jak wyjechał — i zapewne nie sam.

Wiadomość ta widocznie radość jej sprawiła. Kobiety tego rodzaju chciałyby mieć jak najwięcej podobnych sobie, aby nie czuć się odosobnionymi.

Anielcia jednak nie wierzyła jeszcze w tak nagły wyjazd siostry; miała nadzieję, że może zaszała jaka przeszkoda, coś nadzwyczajnego, co ją powstrzymało, i dla tego, wypytawszy się o mie-

szkanie barona, pobiegła tam, — niestety, służba potwierdziła to, co jej Lubaska powiedziała. Baron wyjechał przed godziną i nikt nie wiedział gdzie i po co?

Znekana, zmęczona powlekła się garbuska powolnym krokiem do domu. Nie miała się biec, czego śpieszyć.

— No, so? — spytała Francuzka, która czekała na nią, bo ciekawość zasnąć jej nie dała.

Anielcia nie odpowiedziała nic. Stała nad łóżeczkiem, w którym dziewczątka spały razem, trzymając się za szyje tłuszcikami, obnażonemi rączkami, i kiwając smutnie głową nad niemi szepnęła:

— Biedne sierotki.

XIII.

Odtąd Anielcia oddała się całkiem wychowaniu tych sierotek i rozciągnęła nad nimi macierzyńską opiekę. Wprawdzie robiła to i przedtem, bo matka mało bardzo zajmowała się dziećmi; zawsze jednak nazywało się, że jest matka, która miała bądźco bądź pewne prawa do tych dzieci i obowiązków dla nich. Ale teraz, gdy matka je opuściła, czegoby, jak się wyraziła Francuzka: „żadnego suszka nie zrobiła“, teraz ona uważała się za jedyną ich opiekunkę, za drugą matkę, i zajęła się ich losem z całą gorliwością.

Troska o te dzieci spać jej nie dawała, umysł pracował ciągle nad sposobami zabezpieczenia im przyszłości. Nie zadawała jej już teraz dochód, jaki miała z lekcji, bo wydawał jej się zanadto wątpliwym.

— Niech ja — mówiła nieraz do Francuzki — zachoruję na miesiąc, dwa i nie będę mogła chodzić po lekcjach, co się stanie z temi biednymi sierotkami, kto zapracuje na nie? Rodzice moi słabi już i niedołężni, sami potrzebują pomocy, a oprócz nich nie mają one nikogo.

Wprawdzie nauka dziewczątek nie nie kosztowała, bo zakonniczki, do których chodziły uczyć się, znając garbuskę oddawna, z życzliwości dla niej nic nie brały za to, a lekcje muzyki dawała im w domu Francuzka. Ale to jeszcze nie wszystko: trzeba jeszcze było okryć i wyżywić sierotki i coś dla nich na posazek, a bodaj na wyprawę, uskładać. Tak daleko myślą sięgała opiekunka sierot. Chciała je nie tylko wychować, ale i dobrze zamąż wydać, a wiedząc, że w tych czasach panna bez majątku z trudnością znaleźć może męża, marzyła o uzbieraniu dla tych swoich przybranych dzieci choćby po kilkaset reńskich, coś niecoś, na zagospodarowanie.

Było to marzenie tylko, bo przecież z lekcji uzbierać tego nie mogła, zmuszona opędać tym dochodem codzienne potrzeby i dzieci i rodziców i swoje — no, te ostatnie były najmniejsze, bo dla siebie najmniej potrzebowała; ale koniec końców i ona żyć potrzebowała, aby mieć siły do pracy i odziać się jakotako, żeby nie straszyć ludzi na ulicy. Wszystko więc prawie, co zarobiła, rozchodziło się i z tego małego zaoszczędzić mogła.

Brat także teraz nie przysyłał jej wiele, bo chociaż jako dyrektor fabryki miał dochody duże, ale dochody te pochłaniała kuracya, gdyż co rok teraz na zimę jeździć musiał to do Meranu, to do Florencji, to do południowej Francji, dla podreperowania zdrowia. Ojciec niesłychanie cieszył się z tego, że jego syn, jak jaki wielki pan, jeździł sobie po Włoszech, Francji — pozagranicy, i chwalił się tem przed ludźmi; ale Anielcie niepokoiły te ciągłe wyjazdy brata, domyślała się, że to niedobra jakaś musi być choroba, która trwa tak długo. Martwiła się tem bardzo, a zarazem widziała ze smutkiem, że na pomoc brata, na którym rodzice jej wielkie budowały ciągle nadzieje, ona spuszczać się nie może. A tu trzeba było koniecznie coś postanowić, obmyślić, aby utrzymanie kilku osób na pewniejszych opręć podstawach.

Do tych kilku osób wliczała ona także i Francuzkę, bo jakkolwiek ta nie była żadną jej krewną, to jednak tyloletnie wspólne pożycie tak za-

cieśniło węzły znajomości, że uważano ją, jakby należącą do rodziny — dzieci nawet wołały na nią „babciu“ co starą Łatkiewiczową bardzo irytowało, gdyż ona wyłącznie dla siebie chciała mieć ten tytuł. Francuzka także tak przywiązała się do Anielci, tak przywykła do całej rodziny Łatkiewiczów, że nie pojmowała tego, jakby się mogła z nią rozłączyć kiedy. Miała wprawdzie jakichś krewnych we Francji, pisywali nawet nieraz do niej, żeby wróciła do nich; ale Francuzka tak zżyła się z miastem, w którym czterdzieści kilka lat przebywała, że ani myślała wracać tam, gdzie wszystko dla niej teraz wydawać-by się musiało obcem: i ludzie, i miejscowość i zwyczaje — odwykła już od tego wszystkiego, zapomniała.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

XCVI.

Teść, komedia w 3-ach aktach. oryginalnie napisana przez R. Ruskowskiego i A. Abrahamowicza — Teatr w Ogrodzie Saskim d. 5 Sierpnia. — **Opryszki w Karpatach**, sztuka ludowa w 4 aktach, z epilogiem na tle życia Huculów, ze śpiewami i tańcami oryginalnie napisana przez Seweryna muzyka H. S.

Znowu komedia — i znowu zepsuta na krotkość. Pp. Ruskowski i Abrahamowicz dają chwalebny przykład zgody, jaka na większej widowni i większym imionom zjednała rozgłos, przy wytwarzaniu wspólnych powieści, które swojego czasu świat cały czytywał. Zgoda obu naszych komedyopisarzy jest zupełna: obaj idą dotychczas równym krokiem i tak do siebie przylgnęli, że gdy jednemu z nich przyjdzie jaki pomysł, bez drugiego nietylko-by nie chciał, ale i nie mógł już go wykonać. Jeden drugiemu się wspiera, ale też i jeden na rzecz drugiego *siebie* się wypiera. Z obu indywidualności niezupełnych, nieczujących się dość silnymi do samodzielności, wytworzyła się indywidualność wspólna, ekletyczna, sztuczna, a w takich warunkach, wskutek nieubłaganego prawa żywotności, tworzenie dzieł, które może powstać tylko z działania naturalnej siły żywej — ustępować musi miejsca *robieniu sztuki* do którego wystarcza logiczne tylko sprzężenie dwóch sił odrębnych. Wspólnicy postanowili *robić* sztuki wesołe, dobrze o tem wiedząc, że bawiąc się publiczność zgłuszy zawsze swym śmiechem gderanie zrzedzającej krytyki. I jakoś to idzie: są roboty lepsze i gorsze, ale wogóle z firm najnowszej muzy, niesięgającej po laur satyry i myślicielstwa, najlepszą okazuje się do tej chwili firma, zamieszczona na afiszu *Teścia*. Wyroby jej łączą lekkość — z moralnością, co już samo przez się nie mała jest sztuka. Czasem wyrwie się, wypnie jakieś słówko nie dla paniątek, ale nie można powiedzieć, aby komedyopisarstwo pp. Abrahamowicza i Ruskowskiego szło wzorem pokrewnych sobie operetek francuskich — i kazało zapominać widzowi o tem, że jest w teatrze, a nie w gminnej szynkowni. W tem pojęciu sztuki współpisane są moralne. Skromna jest ta ich moralność, ale w rodzaju wetyłym, który lubi popisywać opasłego humoru — i ta ubożuchna nawet zasobność za zaletę uważaną być musi.

Któremu ze współników przyszedł pomysł *Teścia*? Nie wiem, ale chwilę, w której go jeden lub drugi powziął, obaj do rzędu szczęśliwych zaliczyć powinni. Obrabiano już teściowe, zięciów, macochy, ojców i synów; przyszła kolej na teścia. Jest to temat nietylko dla farsy, ale dla zupełnie poważnej komedii. W pomysle wspólki widać wyraźnie temat, ale wyraźniej jeszcze tematu tego krotofilne zmarnowanie. Cały akt I sprawia wrażenie i daje nadzieję wesołej komedii,

akt II zupełnie ją rozwiewa, a trzeci dorobiony jest tylko dla tego, że splątawszy coś na świecie jeśli się chce uniknąć odpowiedzialności, trzeba koniecznie napowrót rozplątać. W akcie I najwięcej jest satyry, najwięcej też rozumu artystycznego, a prawie że niema wcale figurek pającowskich, machających nogami i rękami za pomocą sznurka. I charaktery tam najlepiej się rysują; tam tylko rzeczywiście widzimy je, poznajemy. I otoczenie głównej osoby *Teścia*, występuje w owej charakterystyce, wystarczającej do oznaczenia gatunkowego ciężaru tych istot w świecie obyczajowym. I działanie zaciekawia, ukazuje pewne ząbienie się jednej woli, jednego interesu dyktowanego przez namietność lub wyrachowanie — o drugi. Szkoda, że cała komedia nie jest napisana tak, jak jej akt I: byłaby rzeczywistą komedią.

P. Baltazar Wędczyński wzbogacony mieszczanin, właściciel sześciu kamienic, przed rokiem utracił żonę, która go pod pantoflem trzymała. Teraz oddycha, pierś mu się rozszerza — chce żyć; był już maruderem, teraz odzyskuje *czucie* zarmia ludzi żywych. Ale ożył nie pozwalając mu jego dwie siostry: jedna, Felicja, wyszczekana baba, która męża swego, Józefa, wzorem nieboszczki trzyma w terrorze i niewolniczej uległości, druga Agnieszka, bigotka, stara panna, uważająca — ale tylko w innych — życie samo za grzech. Chęć one brata obmotać, opętać, przytrzymać — przy pomocy trzeciej, dalszej krewniej, Tekli, płaczącej wdowy, uciesznego straszdyła. Zpoza miłości dla brata, opieki nad zbłąkanym, idei czystości w życiu — prześwitują w całej tej trójce bardzo grube interesa materyalne. Wędczyński ma córkę, Wandę, młode, miłe stworzenie — komedyopisarze mają takie na zawołanie. Zakochał się w niej pełen przyszłości na sądowej i większej publicznej, widowni adwokat Zygmunt Kaczyński. W akcie I dowiadujemy się, że właśnie wczoraj na balu serca się porozumiały, a ojciec panny przyjął oświadczyny. Jeżeli idea nakazuje niepozwalać staremu na jakieś rozdmuchiwanie młodości w popiołach wieku dojrzałego, to znowu oczywiste interesa dopominają się zerwania małżeństwa Wandy. Ciotka Agnieszka utraciłaby swoje stanowisko w domu: ciotka Felicja ma córkę Eufemię, dobrze pomyślane mdlejące widmo, które chciałaby wypchnąć właśnie za adwokata; wreszcie krewna Tekla, ociekająca pobożnością, ma syna, nieponia, którego koniecznie z siostrzenicą i jej sześcioma kamienicami ożenić pragnie.

Jeżeli do tych figur i ich stosunków, do psychicznego światłocienia całej grupy, dodamy nader udatną, w akcie I artystycznie wykonaną, postać Józefa, zahukanego męża Felicji, i młodej wdowy, Fałeckiej, którą sobie silnie zaproszył oko p. Wędczyński — otrzymamy zasób ludzi, żądz, skłonności, świadomych i bezświadomych stanów egoizmu, błysków i przebłysków natury ludzkiej, wystarczający zupełnie do napisania poważnej a im weselejszej, tem lepszej, komedii. Autorowie wzbogacili jeszcze pomysł powyższy tematem wyborów na posła. Przyniósł go w sobie ów pełen nadziei adwokat. Bogactwo to wielce podejrzane. Ja raczej w takim farsem opracowaniu uważam je za ubóstwo, za spadek obciążony tyłu długami, że go bez dobrodziejstwa inwentarza przyjmować nie należało, a inwentarz przekonać-by musiał autorów, że kopiując tylko Bałuckiego, a kopiując źle, tematowi obyczajowemu sztuki, wyrządzają krzywdę. I ten Rajtusiewicz, dziennikarz w karykaturze, i ten Artyniewski, mieszczanin w karykaturze, i cała ta tłuszcza wyborców, odmalowana jak hałstra uliczna — rzeczywiście są przenicowaną tylko starzyzną, niepotrzebnie zabierającą czas i miejsce ludziom głównego pomysłu. Załamawszy się w akcie II w farsę, pomysł ten wybornie komiczny, nadający się do rozwoju charakterów, w wykonaniu nie daje już nic rzetelnie zajmującego w samych postaciach: zajmuje tylko słowami, dowcipkami, humorem, konceptem, krotocwilnością. Zmarnowany sam Wędczyński jako tworzywo dla satyry, zmarnowany jego szwagier Józef, doskonały w pomysle typ niedołęgi, nareszcie po 29 latach odczuwającego siebie, ale w sposób

niedołężny, dziecinny, głupi — tak jak to w większej liczbie wypadków dzieć się musi z takimi naturami. Miłość dwójga młodych, ładnie przebyskująca w akcie II przez sfarsowanie pomysłu i owe wybory, utraciła swą dramatyczną wartość. Po znakomitej w akcie I scenie badania młodego Zygmunta przez dwóch starych wygów, akt II obraca się głównie około „ein Cognac“ porucznika, towarzysza młodej wdowy, i późniejszych niezliczonych już, koniaków Józefa, wyrabiającego w sobie tą metodą koniakową samodzielność wobec sekutnicy żony; a akt III jest nieprawdziwym, nie psychologicznym, bezdusznym, czysto-mechanicznym wprowadzaniem, wyprowadzaniem i zamknięciem w bocznych pokojach figurek mających rozwiązać splątany węzeł — czem? Czy siłą własnych charakterów, na własnych, raz obranych torach? Nie — konceptami, już nawet coraz skąpszymi, samego tylko pióra autorów.

Nie sprawia to umysłowi mojemu przyjemności, gdy, zbierając w całość większą liczbę objawów dramaturgii naszej w ostatnich czasach, wyprowadzać z nich musi sprostowanie, że brak u nas sztuk dobrych, któreby i współczesność bawiły i dla potomnych jeszcze pozostały, choćby tylko w książkach, pochodzi, nie tyle z braku *talentów*, t. j. naturalnych, wrodzonych uzdolnień wyrażających się w pewnym, ponad zwykłą miarę żywem i żywo rzeczywistość pochwytywającym wirowaniu myśli, ile z watości i niemocy *rozumu artystycznego*. Pisarzy utalentowanych mamy sporo; ale bardzo mało za to tworców rozumnych. Widzenie człowieka-tworu w samowiedzy artysty-twórcy nie trwa długo. Talenta większości są jakby migawkowe aparaty fotograficzne. Charaktery występują przeważnie jak widma na płaszczyźnie, nie jako indywiduala, mające plastykę, ciężar, światłocien brył psychicznych. Tę bryłowatość posiadać musi człowiek mający żyć w sztuce — jest ona od żywotności nieodłączna, jest w życiu rzeczywistym nią samą. I powracam zawsze do tego pierwszego wołania myśli poznawaniem Shakespear'a zajętej: „Twórzcie charaktery w sztukach, będziecie tworzyli i sztuki same!“ Może autorom *Teścia* przyda się na co to przypomnienie kardynalnej prawdy wszelkiej dramaturgii — poważnej czy lekkiej, smutnej czy wesołej.

P. Frenkiel w akcie I dał skończenie doskonałego Józefa. Nie jego to wina, że w akcie II przeważnie wychylał koniaki, co nie dawało pola ani dla delikatnej analizy, ani dla subtelnej logiki, z jaką rozwija się Józef-niedołęga z pączka zahukanego zupełnie męża w pyszny kwiat wsłuchującego się z zajęciem w awanturki libertyna *in petto*. Artysta ten rozwija się ciągle. Rzetelny miłośnik sceny — a rodzaj ten jeszcze nie zniknął — pójdzie umyślnie na sztukę, aby zobaczyć p. Frenkiela w *Teściu*. Zaraz po tym Józefie należą się szewrony Baltazarowi Wędczyńskiemu p. Rapackiego. Artysta grał wybornie, — tam, gdzie miał co grać: w akcie I. Doskonały był wybuch jego samodzielności wobec bab, które pragnęłyby go w klatce domowej osadzić. I zalecanki do pani Fałeckiej w akcie II dobre. Charakteryzacja, jak zawsze u p. Rapackiego, rzetelna a wyrazista, podnosiła wrażenie gry. Wszystkie trzy sekutnice państwa się nad Wędczyńskim, odegrane były poprawnie i wyraziście przez p. Micińską, Ostrowską, i Borkowską. Fałeczką jak należy była pani Leszczyńska, — jej mąż porucznikiem — od koniaków i od p. Fałeckiej. Panna Trapszówna ma zdolności, ale uczyć się, uczyć jeszcze musi, dużo uczyć, dobrze uczyć — a głównie ruszać się i mówić z prawdą. Inne role nie nasunęły mi żadnych szczególnych uwag.

Opryszki w Karpatach wskrzeszają dawno już dla literatury zmarłego — czy powieszonego — Dobosza. Kiedyśmy dziećmi byli, karmił nim dziecięce umysły Kazimierz Władysław Wojcicki. W takiej oprawie faktów, w jakiej go nam dotychczas ukazywano, — nie ma on w sobie nie dramatycznego. P. Seweryn skorzystał do swoich *Opryszków*, nietylko ze *Starych gawęd i obrazów*, ale i z bardzo mało znanego opowiadania w T. II *Haliczana*, gdzie Dobosz występuje jako bohater bajronowsko-marmontelowski, w ro

ku jeszcze 1680, podczas gdy zwykle podania, urzędowo stwierdzone faktami wykonania wyroków na schwytej bandzie, mieszcza wypadek około środka XVIII w. Jako objaw sił twórczych, mniejsza o to, ile wartych, w całym czteroaktowym utworze jedynie tylko ta fikcja sentymentalnego dobrodziejstwa ludzkości, uszczęśliwiającego ją rozbojami, a tęskniącego, jak Romeo do Rozalindy, do jakiejś Hanny — zamkniętej w obrębie miłości, ma pewne, choć skromne, znaczenie: reszta mogłaby wcale nie być, bez najmniejszej krzywdy dla samego p. Seweryna. Opryszków najmniej jest właśnie w *Opryszkach*. Dobosz występuje tylko jako romantyczny kochanek Hanny, która w pomysłach p. S. powstała z przepołowienia kobiety kochanej przez nadzobę na dwie: czystą, powiewną, poetyczną — Hannę, liryczną chodzącą, i dyablicę karczmarkę, Nastkę, która przez zazdrość gubi i współzawodniczkę swoją i dawnego kochanka. Mąż karczmarki w *Opryszkach* przypomina podaniowego męża Hanny, ale, udratyzowany bez krzty prawdy, sprawia nader smutne wrażenie. Dobosz, jak w podaniu, ginie z jego ręki, umiera zaś w pożarze chaty, deklamując, jak Rinaldo lub Bartolomeo. Przed wyniesieniem go ze sceny ukazuje się mu jeszcze Hanna. Lwia część zasługi w całej tej scenie przypada na dział ogniomistrza i jego pomocników podpalających angielską białkę, z której składa się niszczący żywioł. Wszystko do zaprawione jest tańcem żydowskim, przepędzaniem ofiar rozbójnictwa przez ogień, tańcami górali i góralek, i jeszcze tańcami, ogniami bengalskimi, muzyką i śpiewem, a zakończone — ową grozą rozpasanego żywiołu. Można było i z druku i ze słychu wysnuć coś, coby się własną pomysłowością autorską doprawić dało odpowiednio do wymagań twórczości dramatycznej; ale wogóle — sam wybór tematu nie składa świadectwa o temperamentem dramatycznym p. Seweryna. Rzecz jest bardzo słaba. Przedstawiono ją w Eldorado. P. Zielezińska znowu dowiodła powołania do sceny. P. Karpowicz mógł być większą siłą lepiej zbójowatość zaznaczyć.

Stanisław Krzemiński.

ZBOŻE.

Wielkie i doniosłe znaczenie miało rolnictwo u ludzi od najdawniejszych czasów. Zaopatrując ich bowiem w zboża, i dając im tem samym najpewniejszy i najłatwiejszy sposób do życia, nie tylko się stało główną podstawą ich bytu, ale nadto dopomogło do zdobycia dóbr materialnych, które znowu przyczyniły się do rozwinienia umysłu, a temsamem wpłynęły na złagodzenie obyczajów. Ze dla nas, jest dziś rzeczą niepojętą, żeby ludzie mogli istnieć bez zboża, czyli bez chleba, i wogóle bez pokarmów roślinnych, to już nie dziwne. W starożytności nie mniejszą przywiązywano do nich wagę, poprostu bowiem mniemano, iż zwierzęta, które się żywiły zbożem, tak dalece udoskonaliły swój organizm, że pod wpływem tego pożywienia, mogły z czasem przekształcić się w ludzi. Okoliczność tę, zupełnie już obrazowo, charakteryzuje pewne podanie tybetańskie. Powiada ono, że kiedy z świętej góry, Sumeru, spadło zboże i rozkrzewiło się po ziemi, to małpy, które jadły je, przeobraziły się stopniowo w ludzi i stały się protoplastami miejscowych plemion.

Jest również i u nas podanie, na tle którego Górecki osnuł jedną z wybornych bajek swoich, że zboże ma święty początek, gdyż pochodzi z nieba. Bo kiedy Pan Bóg wygnał człowieka z raju, to kazał aniołom swoim wziąć różnego zboża i rozsypać im na drodze jego — ale człowiek przeszedł obojętnie, bo nie wiedział co z tem zrobić. Dopiero nadbiegł dyabeł i, spostrzegłszy ziarna, domyślił się, że je Pan Bóg umyślnie rzu-

cił, i że w nich musi być jakaś własność szczególna. Zakopał więc je do ziemi, zabronował, napluł, przydeptał i polecał uszczęśliwiony, że pokrzyżował Boskie zamiary. Tymczasem na wiosnę zboże to urosło, wydało kłosa i ziarna, człowiek poznał je i zaczął się niemi żywić, a dyabeł, ku wielkiemu swemu umartwieniu, przekonał się, że nie tylko nie przeszkodził, ale owszem dopomógł, rozkrzewieniu się zboża dla korzyści człowieka.

Ciekawa to rzecz, że dzikie ludy, zapatrują się zwykle na uprawę roli, jako na coś nadzwyczajnego. Jest to znane powszechnie i przez wielu etnografów przytaczane opowiadanie Francuza, który mieszkał w Ameryce Północnej i miał sposobność przysłuchiwać się spostrzeżeniom i wnioskom pewnego indyjskiego wodza. „Zważcie — mówił on do swoich rodaków — że biali żywią się ziarnem, my zaś mięsem, mięso potrzebuje miesięcy trzydziestu i więcej, ażeby osiągnąć odpowiedniej dojrzałości, a i tak, z jakimież — to trudnościami bywa nieraz połączone zdobycie jego! podczas gdy te dziwne ziarna, które biali sypią do ziemi, już w parę miesięcy wracają się im stokrotnie. Mięso ma cztery nogi do uciekania przed nami, my mamy tylko dwie do ścigania, — ziarna zaś nie tylko nie uciekają, owszem, rosną i mnożą się w tem miejscu właśnie, gdzie je biali posypią, a zima, która jest dla nas chwilą najuciążliwszych łowów, dla nich, jest owszem wypoczynkiem! Więc też mają oni dużo dzieci i żyją dłużej, niż my. Ostrzegam przeto każde go, kto mię słyszy, że zanim zmurszeją ze starości cedry naszej osady, i zanim klony zaprzestaną w dolinach sączyć z siebie cukier, plemię siewców ziarna zniszczy plemię zjadaczy mięsa, jeżeli ci nie wstąpią w ślady tamtych, i nie zaczną tak samo sypać ziarna do ziemi“.

Ale czyż można się dziwić dzikim Indyanom, że w rolnictwie widzą coś cudownego? Wszak starożytni Rzymianie i Grecy, stali na wysokim stopniu kultury, a mimo to, nie umieli sobie objaśnić: jakim sposobem ziarno wrzucone do ziemi, kiełkuje, rośnie i kształci się na podobieństwo rośliny macierzystej, z której wzięło początek? Więc też bogom przypisywali cały ten proces tajemniczy, a w skutkach swoich doniosły. Ztąd szereg bóstw, które prócz głównej bogini Cerery, czyli greckiej Demeter, miały w opiece różne chwile rozwoju i dojrzewania zboża. Dawało mu więc jedno z nich soki pożywne, drugie czyniło je silnem i krzaczastem, inne jeszcze pomagało kłosiszeniu się, kwitnieniu, broniło od śnieci i t. d. Każde zaś miało na cześć swoją ustanowione uroczyste święto doroczne.

Komu zresztą nieznany ów męt, pełen symbolicznego znaczenia, o porwaniu Persefony, czyli rzymskiej Proserpiny, córki Cerery, której samo imię miało bliski związek z kiełkowaniem, odgrywającem tak wielką rolę w rolnictwie, skoro *proserpere* znaczy „kiełkować“? Persefona, ukochana od matki jedynaczka, wyszła na łąki z towarzyszkami, aby narwać fiołków, a spostrzegłszy w oddaleniu precudne narcyzy, odbiegła od przyjaciółek swoich i znikła im z oczu. Nie przeczuwała, że to była zasadzka, gdyż narcyzy te wydała Gea czyli Ziemia i na żądanie Plutona, któremu Persefona wpadła w oko i który postanowił zwabić ją w miejsce samotne i porwać. Ledwie zaczęła zrywać narcyzy, ukazał się Pluton, a pomimo jej krzyku i oporu, wsadził ją do wozu zaprzęganego w węże, uwiózł do swego podziemnego królestwa i tam ją zaślubił.

Porwanie to stosuje się najwyraźniej do epoki zasiewów wiosennych, które przypadają zwykle w chwili kwitnienia narcyzów i fiołków — związek zaś Persefony z Plutonom, oznacza potrzebę ciepła ziemnego dla ziarna, jako warunku niezbędnej do jego pomysłnego rozwoju. Niemniej godną uwagi jest okoliczność, iż Ceres, szukając córki na wszystkie strony, przez dziewięć dni nic nie wiedziała o jej losie, — wiadomo zaś, że ziarno potrzebuje właśnie dni dziewięciu, nim zakiełkuje i wypuści t. zw. *piórko*. Dociekłszy narreszcie, że została porwana, tyle tylko wymogła na Zeusa, że pozwolił, aby Persefona bawiła pół roku na ziemi u matki, drugie zaś pół roku musiała spędzać w państwie podziemnem u męża, co

znowu się tłumaczy przenośnią, że zasiewy ozieme sześć miesięcy leżą zwykle w ziemi.

Trzeba tu nadmienić, że męt zupełnie takiej samej treści, z odmiennymi tylko imionami bogiń, rozpowszechniony był między starożytnymi Słowianami, jak o tem pisze Ignacy Hanusz w dziele p. t. „Der slavische Mythos“. Bo też rzecz naturalna, że musiały mieć i inne ludy swoich opiekunów bogów rolnictwa, jakkolwiek skąpe doszły nas o nich wiadomości. Podobno, że pogańscy Irlandczycy czcili matkę przyrody Ceridwen, jako szafarkę zboża i w pobliżu jej świątyni, składali w jaskiniach pod jej opieką, swe zapasy zbożowe. Po zaprowadzeniu chrześcijaństwa zastąpiła ją św. Brygitta, jako patronka plonów, która modlącym się do niej usilnie w cudowny sposób napelnia zbożem puste stodoły.

Między Niemcami błaka się dotąd pamięć t. z. *Roggenmuhne*, którą dzisiaj straszą niesforne dzieci. Bo kiedy się zapędzą za bławatkami i depczą zboże, to mówią im, że je porwie *Roggenmuhne*. W Czechach jest znowu *Zithola*, która tak samo pilnuje zagonów, łapie dzieci i szkoldnikom wbija gwoździe do ciała. Opowiadają o „żelaznej babie“, która strzeże grochu, a w Galicyi znają żytniego dziada z trzema głowami, trzema brodami i trzema ognistymi językami.

Wszystko to są niezaprzeczenie zablakane stare bóstwa pogańskie. Imiona ich zachowały się tu i owdzie, lecz znaczenie ich poszło w zupełną niepamięć, tak że dziś służą tylko do straszenia dzieci. Trafia się to niejednej wielkości upadłej.

Ale jakkolwiek mało już dziś wiemy o tych bóstwach, niemniej po całej Słowiańszczyźnie spotykamy się z mnóstwem zabobonów, będących z niemi w oczywistym związku. Jest np. na Litwie charakterystyczny zwyczaj zostawiania garstki zboża na pniu, podczas żniwa. Jedna z kobiet zabiera je ręką i zgina ku ziemi, mówiąc, że zostawia garść złotych kłosów na brodę dla Welesa, poczem wszystkie żniwiarki śpiewają pieśni na cześć jego. Wiadomo, że Weles, był na Litwie pogańskiej bożkiem plonów i pasterzy i zostawał w bliskim stosunku z księżycem.

W niektórych okolicach zostawiają garstkę zboża na brodę dla św. Eliasza, w innych dla św. Mikołaja; na Białorusi zaś na brodę dla *Spasa*, który to spás przypada w dniu 6 Sierpnia i ma tam wielkie znaczenie. Od Spasa wolno już jeść jabłka i wypiekać chleb z nowego żyta. Chodzi też tam w czasie żniwa po polach, t. zw. Biełun, w postaci starca z nosem niewytartym. Zbliża się do któregoś z żniwiarek i powiada: „utrzyj mi nos!“ Wystraszone baby rozlatują się w wszystkie strony, ale jeżeli się znajdzie odważna która się nie wzdraga spełnić rozkazu, to dostaje za to garść złotych pieniędzy.

W Polsce wielkiemu otaczają uszanowanie pierwszy i ostatni snop, widząc w nich tajemniczych przedstawicieli plonów. W Kieleckiej gub. osobno je składają w stodołę i młóć osobno, ziarno biorą do siejby, słomę dają na stół w wigilię Bożego Narodzenia, po wili zaś rzucają za obrazy wiszące na ścianie i zostawiają tak do nowego roku. Dnia tego gospodarz wynosi ją o świecie na pole, starając się nie być od nikogo widzianym i obtyka pole dookoła, w lecie bowiem chroni to go od gradu, zapobiega zwałeni się zboża, gniciu korzeni i innym klęskom podobnym.

U górali galicyjskich pierwszy snop zatykają na długim kij i nazywają to babą. Tak samo robią i na Morawach, tylko że w jednej okolicy nazywają to babą, w innej dziadem i stroją w kobiece lub męzkie ubranie. Widać, że panowanie baby było rozpowszechnione u ludów rolniczych.

U Łotyszów na Inflantach ostatni snop nazywa się *Juma kiuls* t. j. „Jumy snop“, do którego śpiewają okolicznościowe piosenki, zapytując się: gdzie „Juma“ tak długo bawił? Na co też sama piosenka odpowiada, że spał pod zielonym wzgórczkiem, albo też pod szarym kamieniem. Widać Juma opiekował się rolnictwem, wiadomo bowiem, że jest to imię bożka zwanego tak u Łotyszów pogańskich, jako też u plemion fińskich.

Obok opiekunów widocznie bywali i nieprzyjaciele rolnictwa. Bo i dzisiaj jeszcze trafiają

się różne szkodniki. W Czechach np. gdy się znajdzie na czyjem polu smuga kłosów połamanych lub śniecią żarżonych, idąca w poprzek żagónów, podają sobie na ucho, że jest to dziełem Pilmas-szmidy. Ma to być duch złośliwy, który pomiędzy sąsiadami żyjącymi w niezgodzie, służy jednemu, a szkodzi drugiemu. Więc też w czasie młocki z owego pola, które Pilmas-szmid nazaczył, dwa ziarna zostają u właściciela, a trzecie odlatuje do sąsiada. Na takie czary niema żadnej rady.

Znają też dobrze na Ukrainie, jako też na Litwie i na Inflantach tak zwane „zawitki“ czyli „zakrętki“ w zbożu. Są to garście kłosów związanych z sobą u góry, a wiązek takich można widzieć kilka, czasem kilkanaście, obok siebie, i więcej, tak że trzeba się dziwić ciepłowości tego, kto tej roboty dokonał. Na wsi ogromnie się boją takich zawitek, wierzą bowiem, że mają one moc sprowadzania właścicielowi pola choroby do domu, pomoru na bydło, lub innego jakiego nieszczęścia, i że im większa liczba zawitek, tem silniejsza moc tych czarów. Co gorsza, że do odczynienia ich t. j. do zapobieżenia ich skutkom, trzeba koniecznie odszukać samego sprawcę i prosić lub datkiem skłonić go do odrobienia własnej roboty. A odszukanie to połączone bywa z kosztami znacznymi, gdyż przedewszystkiem trzeba się udać do znachora, któryby umiał go wykryć i sprowadzić na miejsce.

Na Ukrainie gospodarz, spostrzegłszy w zbożu swoim zawitki, prosił dziada siedzącego u kołowrotu, t. j. u wrót prowadzących do wsi, żeby mu je odkręcił. Dziad, znachor wielki, nie ośmielił się jednak tego uczynić, obiecał wszakże sprowadzić sprawcę. Rozniecił więc ogień i szeptał coś nad nim, a gospodarzowi kazał otworzyć wrota i zamykać je pomalutku, jak można najpowolniej, inaczej bowiem ten, kto porobił zawitki musiałby co tchu lecieć ku nim i mógłby z pośpiechu paść trupem. Kiedy gospodarz domykał prawie wrota, ukazał się na drodze człowiek śpieszący w tę stronę. Skoro przyszedł i został wzięty na indagację, przyznał się, że to on porobił zawitki i zaczął prosić, żeby znachor zdjął z niego uroki. Znachor kazał mu się najprzód wykupić, potem podkrecać zawitki i wtedy dopiero pozwolił mu odejść.

(Dokończenie nastąpi).

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

WŁOSY.

Piękne włosy uważane były zawsze i wszędzie za jedną z największych ozdób ciała. Dziś zwrócono na nie jeszcze bardziej uwagę, aniżeli dawniej, a to prawdopodobnie dlatego, że z prawdziwie pięknymi włosami coraz rzadziej spotkać się można. Nie będziemy badać przyczyn dla czego tak się dzieje; przyjrzymy się tu pokrótce budowie, przeznaczeniu, niektórym chorobom włosów, sposobom ich pielęgnowania i leczenia.

Włosy są to twory rogowe, podobnie jak naskórek i paznokcie, pokrywające u człowieka prawie całą powierzchnię ciała, nie wszędzie jednakże w jednakowej obfitości. Niektóre tylko miejsca pozbawione są w zupełności tego naturalnego pokrycia, a mianowicie pewna część skóry twarzy, dłoń, podeszwy, i grzbietowa powierzchnia niektórych członków palcowych. Najobficiej wyrastają włosy na skórze czaszki, u mężczyzn na górnej wardze, brodzie i na policzkach w okolicy pachowej i pachwinowej.

Włosy bywają w różnych miejscach ciała odmiennie grubości, rozlicznego koloru i długości. Większa część skóry pokryta jest bardzo krótkim i nadzwyczaj delikatnym włosem: tak zwanym

puszkiem (*lanugo*). Włosy wyrastają z cebulek włosowych, w których pomieszczają się ich korzenie, a nazewnątrz wychodzą przez otwory w naskórku. W niektórych miejscach ciała włosy posiadają kształt zupełnie okrągły, w innych mniej albo więcej spłaszczony albo nawet kończasty. Co do usiania to np. na głowie, według Witthofa, na jednym calu kwadratowym wyrasta 293 włosów, tymczasem są miejsca, gdzie ich znajduje się, na takiej samej przestrzeni, tylko 13. Miejscami widzimy włosy zupełnie proste, miejscami zaś wijące się, kędzierzawe. Zresztą własności włosów zależne są w wysokim stopniu od indywidualności, rasy, pielęgnowania i t. p. Powierzchnia każdego włosa składa się wyłącznie z suchych, rogowych komórek rozmaitego kształtu i ułożenia. Wnętrze włosa wypełnione jest t. z. substancją rdzeniową, złożoną z komórek wypełnionych płynem lub powietrzem. Prócz tego w każdym zdrowym włosie znajduje się pigment, czyli barwnik, nadający mu dwoisty kolor. Barwnik, ten wypełnia częściowo komórki, albo też znajduje się swobodny w postaci małych ziarenek.

Nie pokusimy się na opisanie rozlicznych odcienników koloru włosów; powiemy tylko, że bywają one od jasno-żółtego do czernego, brunatnego i czarnego jak węgiel. We włosach siwych brak barwnika w wysokim stopniu, albo nawet w zupełności, w jasno blond znajduje go się bardzo mało, najobfitszym jest w czarnych. Wzrost przychodzi do skutku w korzeniach, tu bowiem wydzielą się z naczyń krwionośnych płyn odżywczy, z którego wytwarzają się nowe komórki i skutkiem tego włos wysuwa się ze skóry coraz bardziej, staje się dłuższym. Wyrastanie owo jest do pewnego stopnia ograniczone: gdy włos osiągnie pewną długość, gdy go nie obcinać peryodycznie, już dalej nie wyrasta, albo niezmiernie powoli tylko. Gdy się obcina końce włosów, długość ich osiągnąć może 6 metrów. Po pewnym czasie, gdy włos już osiągnął największą długość, wypada, albowiem cebulka włosowa nie jest już w stanie go odżywiać, dźwigać, na jego miejsce zaś wyrasta niedługo nowy. U zwierząt wypadanie odbywa się peryodycznie i zowią je lenieniem. U człowieka podobnych peryodów zauważyć nie można, wypadanie odbywa się powoli lecz bezustannie. Jedynie z przyczyn chorobowych wypadanie następuje bystro i wtedy na dotkniętym miejscu choroba, pozostaje tylko puszek włosowy. Dzieci po urodzeniu posiadają zwykle ciemne włosy, które wkrótce niedługo wypadają, a na ich miejsce wyrastają znacznie jaśniejsze. Później włosy stopniowo ciemnieją, wreszcie w starości przybierają kolor biały—siwieją.

Zadaniem włosów jest głównie powstrzymywanie zbyt szybkiego promieniowania ciepła z organizmu, a więc chronią go one od zimna. Zbierające się między włosami powietrze, jako zły przewodnik ciepła, staje temu w wysokim stopniu na przeszkodzie, włosy zatem stanowią rodzaj naturalnego odzienia, jak to widzimy u zwierząt. U człowieka ochroną jest dostatecznie tylko głowa. Brwi mają za zadanie chronić oczy od dostania się do nich potu, a rzęsy od zbyt silnego światła i kurzu.

Nie będziemy wymieniali rozlicznych form chorób włosów, jest ich kilka; powiemy tylko, że skutkiem rozlicznych przyczyn, włosy stać się mogą suchymi, łamliwymi, rozszczepiają się na końcach zmieniają swój kolor pierwotny, i wreszcie wypadają. Przychodzi to zaś do skutku nasamprzód z powodu wadliwego odżywiania się włosa, co może także być następstwem ogólnego zaburzenia w odżywianiu, albo też skutkiem grzybków pasożytniczych, rozwijających się na włosach. wreszcie—choroby nerwowej.

U ludzi będących w podeszłym wieku, prawie stale włosy wypadają, albo też siwieją. Stan ten uważać należy za prawidłowy, niewymagający żadnego leczenia, zresztą żadne usiłowania w tym kierunku nie wydadzą z pewnością dodatniego rezultatu.

Gdy włosy wypadają po przebyciu ciężkich chorób, takich np. jak tyfus, natenczas jest to stan przejściowy; zazwyczaj bowiem jednocześnie

z wzmoczeniem się sił żywotnych wyrastają nowe włosy.

Za anormalny stan uważać należy, gdy łysienie rozpoczyna się w młodości, albo w sile wieku. I tutaj przyczyną być może ogólne osłabienie i grzybki pasożytnicze. Nadmienić jeszcze wypada, że łysina może być dziedziczną. Dobrze wszystkim znane są rodziny, w których całe pokolenia zaczynają łysieć w młodości. Kształt łysiny i szybkość z jaką włosy wypadają, bywają najrozmaitsze. Najczęściej spotykamy łysinę u mężczyzn w okolicy czołowej. Więc nasamprzód czoło staje się stopniowo coraz wyższem, co nawet nadaje wyrazowi twarzy pewną powagę, następnie rozrzedzają się włosy na wierzchołku czaszki, rozdział staje się coraz szerszym, aż wreszcie, po upływie paru lat, pozostaje na okolicy czołowej i ciemieniowej tylko puszek, który pozwala doskonale podziwiać gładką, świecąca skórę. Jedynie okolice skroniowe i potylicowa pokryte są włosami i wtedy-to nieobcinając ich, udaje się niekiedy „wejść na hypotekę“—pokryć niemi wierzchołek czaszki.

Daleko przykrzejszem jeszcze jest wypadanie włosów, wydarżające się u dorosłych mężczyzn na twarzy, przychodzi ono zazwyczaj wskutek zagnieżdżenia się grzybka, i wtedy nie pozostaje nic innego, jak zgolić zarost.

Znacznie bardziej szpecącą jest łysina na okolicy tylnej głowy; wtedy zarówno ze względów higienicznych jak i estetycznych uciec się potrzeba do peruki.

Prócz takiego symetrycznego, na znaczniejszej przestrzeni wydarżającego się łysienia, włosy wypadają niekiedy z ograniczonych ściśle miejsc czaszki lub brody, tworzą się tak zwane *plichy*. Przyczyną ich najczęściej są grzybki. Cierpienie to trwa przez pewien czas, poczem wyrastają na gołych miejscach, zwłaszcza przy odpowiednim leczeniu, nowe włosy, często jeszcze bujniejsze niż dawniej.

Co do siwienia, to ono obecnie bardzo często wydarza się u ludzi jeszcze zupełnie młodych. Nie podobna nie przyznać, że nadmierna praca umysłowa, zmartwienia, ale także i nadużycia wszelkiego rodzaju, przyspieszają siwienie w wysokim stopniu. Rozumie się, że gdy ono przyszło do skutku, nie pozostaje nic innego jeno wierzyć fryzjerom, że najmodniejszym kolorem włosów jest *poivre-sel*, czy też *sel-poivre* i nosić je takimi, jakimi je natura uczyniła, albo zamienić je za pomocą jednego ze środków farbujących, na blond, szatyn, rudy, lub czarny kolor, o czym jeszcze niżej pomówimy. Chociaż naszym zdaniem, najpiękniejszy i najodpowiedniejszy do cery jest kolor naturalny, jaki włosy przybrały. *Ale de gustibus...*

Chcąc mieć piękne włosy, trzeba je w odpowiedni sposób pielęgnować.

Najpierwszym warunkiem jest czystość, a więc codzienne obmywanie skóry pokrytej włosami, wodą z mydłem, wyczesywanie grzebieniem i szczotką, i utrzymanie tych przyborów toaletowych w jak największej czystości.

Bardzo wiele warunków antyhigienicznych składa się na to, że mamy tyle księżyców, i że kobiety nie mogą się poszczycić długimi i grubymi kcsami. Nie podlega wątpliwości, że ciężkie, przeszkadzające transpiracji skóry nakrycie głowy przyczynia się wielce do wypadania włosów. Częstokroć fryzjer nieczystym grzebieniem albo szczotką przeszczerpiał paszożyty na zdrową skórę i w ten sposób przyczynia się do choroby włosów. Fryzowanie częste niemniej ujemnie oddziaływa na porost.

Z drugiej znowu strony, przeciążenie pracą, kłopoty, zmartwienia, trzebią czupryny w sposób niemiłosierny.

Łatwo poradzić, aby unikano tych wszystkich szkodliwości, lecz wykonanie tego polecenia jest o wiele trudniejszym.

Prócz wspomnianej czystości, dobrze jest od czasu do czasu końce włosów obcinać, zbyt krótkie i częste strzyżenie, wcale włosów nie wzmacnia, jak to wielu mylnie sądzi, za przykład przytoczyć możemy fakt, że mężczyźni znacznie częściej łysieją aniżeli kobiety, i tacy, którzy z jakich bądź powodów noszą długie włosy.

Gdy włosy są zbyt suche, łamliwe, rozszepiają się na końcu, korzystnie jest nasycić je od czasu do czasu jakim tłuszczem niejeleczącym i obcinać. Najlepiej posługiwać się w podobnych razach olejkami rycynowym, z dodatkiem jakiegoś pachnącego olejku.

Osobom, którym łuszczy się naskórek na głowie, polecić możemy obmywanie z roztworu taniny (łyżeczkę od kawy na szklanę odwaru chininy), z dodatkiem wody kolońskiej, balsamu peruwiańskiego, lub też nalewki benzoesowej.

Przeciwko łupieżowi polecić jeszcze możemy: Spirytusu mydlanego i wody kolońskiej po 100 gramów, nalewki chinowej 2 gramy. Wodą tą przez pewien czas obmywać skórę głowy raz dziennie.

Co do farbowania włosów to bardzo mało jest środków nieszkodliwych: prawie wszystkie zawierają w sobie substancje trujące, które nie tylko oddziaływały szkodliwie na włosy i skórę, lecz mogą przy dłuższym i częstszym użyciu spowodować zaburzenia w ogólnym stanie zdrowia. A potem farby te nigdy nie nadają włosom pięknego koloru; wprawne oko od razu rozpoznaje farbę; czyż nie lepiej przeto zgodzić się z losem, niż wystawiać się na pośmiewisko?

Pozostaje jeszcze zastanowić się nad środkami leczniczymi, i w tym względzie trzymać się będziemy wskazówek specjalisty prof. Lassara z Berlina.

Jednocześnie z rozwojem bakterjologii, nauki o pasożytach chorobotwórczych, wyjaśnionych zostało także wiele kwestii w dziedzinie chorób włosów dotąd nieznanych. Ścisłe przeprowadzone badania wykazały, że np. grzybek powodujący wypadanie włosów może być przeniesiony z człowieka na człowieka, a także na zwierzęta i odwrotnie.

Jeżeli pewną ilość złuszczonego naskórka, osoby dotkniętej wypadaniem włosów pomieścić między szerścią królika, lub świnki morskiej, namaszerowawszy przedtem owo miejsce tłustością, natenczas po niedługim czasie zwierzę zaczyna utracać szerść.

Każdy wie doskonale, jakich zabiegów potrzeba aby narzędzia chirurgiczne utrzymać w czystości, i za ich pośrednictwem nie przenosić choroby z jednego indywiduum na drugie. Łatwo zatem sobie wyobrazić, że przeniesienie zarazki szczotkami i grzebieniami, przychodzi niewątpliwie do skutku, gdy używają ich wspólnie osoby chore ze zdrowymi.

Tu jeszcze nadmienić musimy, że wydarza się także wypadanie włosów, skutkiem choroby nerwowej i natenczas łysienie następuje w kierunku chorego nerwu, lecz wydarza się to znacznie rzadziej, niż z przyczyn *parazytarnych*, i dla tego przyjrzyjmy się tu metodzie prof. Lassara, zasadzającej się właśnie na postępowaniu antyparazytarnym.

Przedewszystkiem tedy zaleca lekarz berliński staranne wymycie skóry głowy, porosłej włosami wodą mydlaną z dodatkiem sody i wody różanej (łyżkę stołową na litr). Operacji tej u kobiet dokonać powinna ręka osoby wprawnej w tę czynność, t. j. w ten sposób, aby w samej rzeczy wymyta została skóra a nie powierzchnia włosów. W tym celu trzeba włosy rozgarniać na liczne przedziały. Procedura ta owiele łatwiejszą jest u mężczyzn, noszących krótkie włosy. Następnie wypada obmyć głowę: nasamprzód letnią a potem zimną wodą, która stanowi rodzaj kąpieli wzmacniającej: zabezpiecza skórę od zaziębienia. Osuszywszy potem głowę ręcznikiem, robi się nacierania skóry roztworem sublimatu, który jest jednym z najpotężniejszych środków, wygubiających wszelkiego rodzaju pasożyty. Do roztworu (0,5 na 150,0) dodaje się po 50 gramów gliceriny i wody kolońskiej. Wreszcie robi się jeszcze wcieranie z wysokoku absolutnego, do którego dodaje się pół procentu naphtholu.

Po takiej operacji skóra zostaje w wysokim stopniu pozbawiona tłuszczu naturalnego; aby wynagrodzić jej tę stratę, radzi Lassar wcierać olejek następującego składu, kwasu salicylowego 2 gramy, nalewki benzoesowej 3 gr. i jakiego olejku pachnącego 100 gramów. Wcieranie skuteczniać należy w skórę, a nie we włosy. W końcu

cu nadmienić jeszcze musimy, że przeciwko wyrostaniu i niszczeniu już wyrosłych włosów na miejscach gdzie szpecą, jak np. u kobiet na górnej wardze lub brodzie — środka nie posiadamy. Wszelkiego rodzaju mechaniczne sposoby pozostawiają po sobie blizny, które szpecą jeszcze więcej, niż włosy. Wyrwanie szczypcami jest środkiem czasowym; po 4 lub 5 tygodniach wyrastają nowe włosy.

Lassar utrzymuje, że osiągał pomyślne rezultaty za pośrednictwem przyżegania cebulek włosowych elektrycznością. Wprowadza się w skórę cieniutki drucik rozgrzany do białości i w ten sposób cebulka włosowa zostaje zniszczona, a wraz z nią i włos. Jest to jednak operacja żmudna, bardzo bolesna i często pozostawia po sobie dosyć znaczne blizny.

Nie pozostaje zatem nic innego, jeno pogodzić się z tym niewinnym dodatkiem naturalnym, albo też strzyżać peryodycznie włosy nożyczkami, co jednakże o wiele przyspiesza ich porost. Tęsam można powiedzieć o goleniu.

Dr. Józef Starkman.

JUSTYNÓWKA

OBRAZEK Z ŻYCIA LETNICH MIESZKAŃCÓW
W MROZACH

przez

BOGUMIŁA HOFFA.

(Dalszy ciąg)

— Może byś się też przebrał?
— Nie, panienko.
— Ale przecie. Pójdę do gospodarza i pożyczę dla ciebie suchego ubrania.
— Nie potrzeba, — dziękuję, — nie przemokłem.
— Jak chcesz: żebyś się tylko nie zaziębił.
— O nie, panienko, przywykłem do tego. — Już teraz burza ustaje; trzeba mi wracać do domu. — I Janek wstał.
— Ale zaczekaj jeszcze chwilę, napijesz się z nami herbaty.
— Bardzo dziękuję.
— Siadajże jeszcze, mój Janie, zaraz przyjdzie mama.

Zamiast matki weszła do pokoju służąca i, ujrawszy Justynkę, przybiegła do niej i z radością całowała w rękę.

— Gdzie też panienka była?
— W lesie, moja Kasiu.
— Tak szukaliśmy panienki i nie mogliśmy jej znaleźć.

— A gdzie szukaliście mnie?
— U państwa dyrektorów, — na stacyi.
— Widzisz, byłam daleko w lesie i zabłądziłam. Żeby nie ten uczciwy gajowy, — nie wiem czybym była powróciła tak prędko.

— Chwała Bogu, że wszystko skończyło się szczęśliwie!

Kasia z ciekawością spoglądała na Jana, następnie zajęła się przygotowywaniem stołu do herbaty.

Janek, czując się zanadto obcym w tej, dla niego nieznanej atmosferze, chciał się usunąć, lecz Justyna nie opuściła go i zatrzymała do herbaty, sadwiąc go przy stole obok siebie.

Pani Hubertowa niekoniecznie była zadowolona z takiego towarzysza; — lecz zanadto kochała Justynę, aby sprzeciwić się jej woli, przeto czuła rzeczywistą wdzięczność dla wybawcy swej córki, więc pogodziła się z obecnością gościa prostaka.

Justynka obsługiwała Jana jak małe dziecko, będąc w najlepszym humorze i zachęcając go do większej śmiałości.

Kasia dziwiła się niemało obecności nowego gościa, — lecz i ona tłumaczyła to sobie znaną jej egzaltacją panienki.

Po kolacyi Justyna wstała od stołu i, pocałowawszy matkę w rękę, wyszła na werendę.

Jan pożegnał panią Hubertową, całując ją w rękę.

— Spodziewam się, — mówiła pani domu, że przyjdiesz kiedy do nas, — bo chciałabym ci okazać moją wdzięczność, a chwilowo słowami tylko mogę ci wypowiedzieć moje uczucia. Bóg ci zapłać, mój chłopcze! Jeżeli ci kiedykolwiek będę mogła być użyteczną, udaj się z całym zaufaniem do mnie, a znajdziesz we mnie troskliwą matkę, i ile od moich sił zależeć będzie, zadość uczynię twoim życzeniom. Bóg z tobą!

Była wzruszona i schyłonego nad jej ręką Jana pocałowała w czoło.

Jan postąpił za Justyną na werendę.

— Patrz-no, Janie, jak się wyjaśniło, — jak cudownie teraz świeci księżyc, a tam uciekają owe czarne chmury, które mnie tak przestraszyły. Czy daleko masz do domu?

— Nie tak bardzo, panienko. Ztąd nalewo, około trzeciego młyna, kawałek przez lasy. Tam stoi domek na pagórku; w nim mieszkam.

— Czy sam? Czyś żonaty?

— Nie żonaty. Mieszkam z matką.

— Czemu się nie żenisz?

— Bo, — bo niedawno dopiero zostałem przyjęty na gajowego.

— Nie miałeś jeszcze czasu myśleć o ożenieniu się?

— Tak.

— A w gospodarstwie to ci matka dopomaga?

— Matka, ale nie bardzo...

— Dla czego?

— Bo słabuje.

— Nigdy jeszcze nie byłem w tamtych stronach. Musisz zaprowadzić mnie tam kiedy. Jutro rano? dobrze?

— Dobrze, panienko, — jeżeli to nie będzie za daleko dla panienki?

— Ale gdzie tam, — już nauczyłam się chodzić daleko. Więć jutro rano zaczekasz na mnie zaraz za młynem, pierwszym ztąd? Tak około ósmej?

— Dobrze, panienko.

— A będziesz miał czas?

— Będę miał, — bo jutro Niedziela.

— Prawda. To jesteś wolny cały dzień?

— O nie, panienko — muszę pilnować lasów. Tylko, że rano wolno mi wstąpić do kościoła.

— A do którego kościoła chodzisz?

— Do Kuflewa, czasem do Ceglowa.

— Daleko ztąd?

— Ze 3 albo 4 wiorsty.

— Więć jutro rano o ósmej, może wcześniej, o siódmej, będę na drodze w lesie za młynem.

— Zaczekam tam na paniekę. Z Bogiem!

— Bóg z tobą, mój Janie, zobaczymy się jutro.

Justyna podała mu rękę, którą Jan ucałował i, kłaniając się jeszcze, gdy był przed werendą, odszedł w stronę lasu.

Justyna patrzyła długo za nim, aż znikł za drzewami w dolinie.

Była silnie zajęta odchodzącym, nie zważała na piękności widoku, jaki malowniczo roztaczał się przed nią.

Dopiero słowa matki:

— Justyniu! czy nie zaziębisz się? — wyrwały ją z zamyślenia.

Objęła matkę za szyję i całowała ją ze wzruszeniem, potem przytuliła się do niej i, przyłożywszy głowę do głowy matki, — rzekła:

— Gdyby nie ten uczciwy Janek, mamę kochana, nie byłabym teraz przy tobie! Przebac mi, moja złota mameczko!

— Już nie gniewam się na ciebie. Ale na przyszłość nie przeceniaj swoich sił i nie zapuszczaj się daleko do lasu. Lepiej bierz zawsze Kasię ze sobą, jeżeli koniecznie do lasu chodzić musisz, jak ci doktorzy nakazali.

— O mamę, teraz już mam przewodnika, teraz już mam przewodnika, teraz już nie zbłądzę!

— Gdybym miała tyle sił, aby ci towarzyszyć, byłoby to najlepiej, — lecz tak.

— Nie, mameczko, zostań sobie spokojnie w domu, na ulubionym miejscu pod werendą, a ja będę naprzemian i u ciebie i w lesie. Dobrze?

— Jak chcesz. Moja perelko!

— Patrz-no Justynko, jaki widok precudny! Ale ten las taki straszny, taki czarny!

— Ach, mamo, lasy są cudownie piękne, takie piękne, że ci tego opisać nie jestem w stanie. Każemy się kiedy tam zawieźć. Nie pożałujesz, mamo, bo warto w nich być! Czy widzisz, mamo, jak fantastycznie odbija się woda od lasu, a przed wodą smuga srebrna?

— To deszczem zroszona trawa, w której promienie księżyca odbijają się jasnym światłem.

— A ta grupa budynków stacyi, otoczona drzewami. Jak fantastycznie wyglądają te różnokolorowe światelka! Słyszysz, mamo, świst lokomotywy? Pociąg idzie.

— Widzę go, jak szybko pędzi ku stacyi.

— Patrz na te światelka.

— Ale jaki turkot! Wiesz, to na mnie robi wrażenie wcale nie przyjemne. Taki pociąg w nocy — straszny. Boję się go! Pójdźmy lepiej spać.

— Pójdziemy, mameczko. Byłam dzisiaj bardzo niegrzeczna, ale poprawię się. Już będę rozsądniejszą, — o, mogę być rozsądną.

— Dobrze, chcę wierzyć w twoją roztropność, a tymczasem obmyślny, w jaki sposób wynagrodzić uczciwego Janka. Chciałam mu dać pieniędzy, lecz obawiałam się, że może to niestosownie.

— I dobrze, mamo zrobiłaś, że nie wykonałaś tego zamiaru; — bo rzeczywiście on na inną zasłużył nagrodę. Po zbadaniu jego położenia znajdziemy może sposób, aby los jego polepszyć. Tymczasem, dobranoc, moje lasy, — dobranoc, moje łąki i kwiaty. Dobranoc, mój... Janku, — dodała pocichu. Obie kobiety znikły w głębi mieszkania. Drzwi na werendę zamknęły się.

W oknach wkrótce światło zagasło.

II.

Nazajutrz po burzy poranek był precudnie piękny. Słońce w całym swoim majestacie wznosiło się nad lasami.

Mimo pysznego widoku, mimo balsamicznej woni powietrza, odświeżonego wieczorną burzą, letni mieszkańcy w Mrozach spali jeszcze w najlepszej.

Przywyknienia miejskie przeszkadzają bardzo osobom szukającym wytchnienia i zdrowia korzystać ze zbawionego wpływu czystego i zdrowego powietrza wiejskiego. Goście bowiem bawią się przed samymi mieszkaniami, albo w pokojach do późnej nocy, — ba, i po północy, a następnie śpią prawie do samego południa.

Ponieważ mieszkania są zwykle szczupłe i przebywa w nich bardzo wiele osób, staje się to więc szkodliwym i nie odpowiada celowi.

Z rannego powietrza, prawie nikt nie korzysta.

I dzisiaj, jak zawsze, letni mieszkańcy Mrozów za szczelnie pozamykanymi okiennicami pogrążeni byli w śnie głębokim.

Wyjątek od tej wady ogólnej Warszawiaków stanowiła dzisiaj tylko jedna osoba.

Wybiła godzina szósta.

Drzwi wychodzące na werendę przy mieszkaniu państwa Hubertów otworzyły się ostrożnie.

Ukazała się w półotwartych drzwiach Justyna.

Strój jej był wprawdzie w ścisłym tego wyrazu znaczeniu poranny, — właściwie nocny, bo zu-

pełnie biały. Z początku rzuciła tylko ciekawe spojrzenie na otoczenie, lecz, nie widząc nikogo naokoło i zachwycona czarodziejskim widokiem, postąpiła naprzód na środek werendy, niezważając na stan toalety.

— Nie miała też przyczyny obawiać się ócz niedyskretnych, bo domek, otoczony drzewami, nie leżał przy samej drodze, a przytem mogła być pewną, że nikt ze współmieszkańców nie opuścił jeszcze swego łóżka.

Justynka, w jasnym blasku słońca, wydawała się niezwykle piękną.

Ciemne włosy, na wpół rozpuszczone, otaczały kształtną głowę.

Duże, ciemne oczy, szeroko otwarte pod wrażeniem zachwyty z widoku, miały w sobie coś tak niezwykłego, błogiego, jak tylko w obrazach świętych, malowanych przez najslawniejszych mistrzów, spotkać można.

Koloroki, trochę ożywione, i usta koralowe, cokolwiek rozwarte, nadawały całej postaci niezwykle powab.

Mimowoli Justynka złożyła ręczki do pacierza i zostawała przez kilka minut w zachwycie niespodzianego widoku.

Dopiero rażące promienie słońca zmusiły ją do zasłonięcia oczu ręką. Przytem obnażyło się ramię i łokieć, o kształtach tak cudnie toczonych, o jakich marzą tylko rzeźbiarze.

Po chwili, czując chłód w nogach od wilgotnej jeszcze podłogi werendy, przypomniała sobie Justynka, że jest bosą i że się ubierać wypada.

Znikła zatem za drzwiami.

Jeżeli jednak sądziła, że jej nikt nie widział, — omyliła się. Był przecie ktoś, kto przypadkowo spostrzegł ją właśnie w chwili, kiedy najmniej spodziewała się tego.

Janek, wychodząc z lasu ze znalezioną książką Justyny, chciał ją odnieść właścicielce, sądząc, że to książka do modlitwy. Zbliżając się już do mieszkania państwa Hubertów i mijając ostatnie drzewa sadu pod domem, ujrzał Justynę.

Zjawisko było dla niego tak niezwykłym, tak czarującym, że przykuty na miejscu nie mógł oderwać oczu od postaci, wydającej się mu świętą.

Dopiero po jej zniknięciu przypomniał sobie, po co przyszedł, i z wrodzonym naszym wieśniakom taktem, nie wszedł za nią do pokoju, lecz, obchodząc dom, udał się do kuchni.

Tam zastał Kasię, zajętą przygotowywaniem śniadania.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki! Janku — co cię sprowadza tak rano?

— Znalazłem książkę panienci.

— Pocziwy z ciebie chłopak. Ale jak ona wygląda!

— A, bo leżała w wodzie.

— Zaniósę ją panience, skoro wstanie.

— Już wstała.

— Zkądże to wiesz?

— Bo widziałem panienkę już na werendzie.

— Nie wiedziałam o tem. Zaraz zaniósę jej książkę i powiem, że tu czekasz.

Kasia wyszła z kuchni, a po powrocie mówiła:

— Panienska kazała ci podziękować i prosić, ażebyś zatrzymał się chwilę; zaraz się ubierze. Proszę cię, pomóż mi zanieść na werendę parę stołków i stół, bo tam panienska chce zjeść śniadanie.

— Bardzo chętnie.

— Ale cichutko, proszę cię, — bo starsza pani śpi jeszcze i panienska gniewałaby się, gdybyśmy ją obudzili.

Janek, szczęśliwy, że może się czemś przysłużyć, sam zaniósł naokoło domu podane mu stołki

i stół na werendę i pomagał Kasi ustawiać wszystko do śniadania.

Justyna wyszła i serdecznie witała Jana.

Jan, ucałowawszy podaną rękę, odstąpił, cofając się o parę kroków, i przypatrywał się Justynie.

Przebrana była prawie nie dopoznania, w czarnej sukienkę z żalobnym szlakiem u spodu i czarną krepową kryszą około szyi i rękawów. Włosy ujęte w warkocz długi spuszczone, z kokardą czarną na końcu.

Kontrast z tem żalobnem ubraniem stanowiła twarzyczka ożywiona i uśmiechnięta.

— Dziękuję ci serdecznie za przyniesienie książki. Gdzieś ją znalazł?

— Tam gdzie panienska siedziała i czytała. Na deszczu leżała i rozmokła zupełnie.

— To nic nie szkodzi, — już ją przeczytałam. Kiedy ją znalazłeś?

— Dziś rano.

— Musiałeś wstać wcześniej odemnie?

— O, wcześniej. Myślałem, że paniencia będzie potrzebna książeczka do modlitwy.

— O nie. To książka nie do modlitwy. To francuzka powieść, po polsku nazywa się „Pracownicy morza“.

— Musi być ładna ta książka.

— Bardzo ładna powieść, tylko koniec bardzo smutny. Opowiem ci ją kiedy przy sposobności. Przypomnij mi. A ty umiesz czytać?

— Ja — niewiele.

— Dla czego nie? Nie chodziłeś do szkoły?

— Trochę tam uczyłem się, ale po-naszemu.

— Jakto po naszymu?

— Nie po-francuzku, — tylko po-polsku. A panienska też umie czytać po-polsku?

— Ja? To-by było źle, gdybym nie umiała. Owszem, czytam i piszę wiele po polsku, a w obcych językach tylko czytam dla wprawy.

— Ach, ja umiem bardzo mało czytać, a pisać wcale nie.

— To nie dobrze. Wiesz co? nauczę cię czytać i pisać. Chcesz?

— Ach panienko, — ale gdzieby się chciało paniencie męczyć ze mną?

— Dle czego nie? uczynię to z największą przyjemnością.

— Nie wiem, czembym mógł odwdziaczyć się paniencie.

— A teraz siadajmy do śniadania. Siadź tu, Janie.

— Dziękuję.

— Kasia, przynieś jeszcze drugą filiżankę.

Jan usiadł, a Justynka podała mu filiżankę kawy i poczęstowała go bułkami.

Po spożyciu śniadania Justynka włożyła czarny krepowy kapeluszik z długim welonem i otworzyła parasolkę czarną.

— Słomkowy kapelusz wczoraj popsuł mi się, muszę dzisiaj włożyć mały, bo z wizytą idę do twojej matki. Chodźmy.

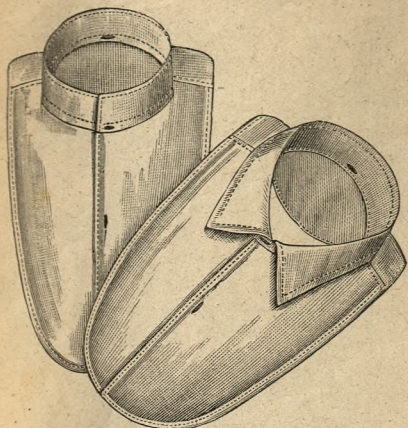
Justynka, wzięwszy już przygotowany koszyczek do ręki, wyszła. Janek postąpił za nią.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Podróżnicy Afrykańscy. — Henryk Heine. Z cyklu: Auf der Fremde (wiersz), przełożył Adam Mielezko-Maliszkiewicz. — Garbuska. Powieść, przez Michała Bałuckiego (dalszy ciąg). — Przegląd Teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Zboże, przez Stefanią Ulanowską. — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej. Włosy, przez Dr. Józefa Starkmana. — Justynówka, obrazek z życia letnich mieszkańców w Mrozach, przez Bogumiła Hoffa (dalszy ciąg).

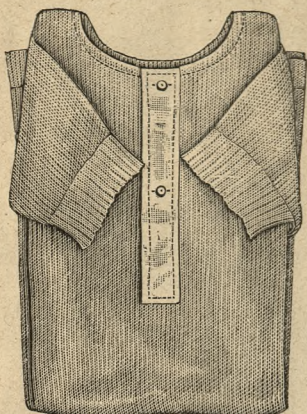
Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci powieści, pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 48 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**



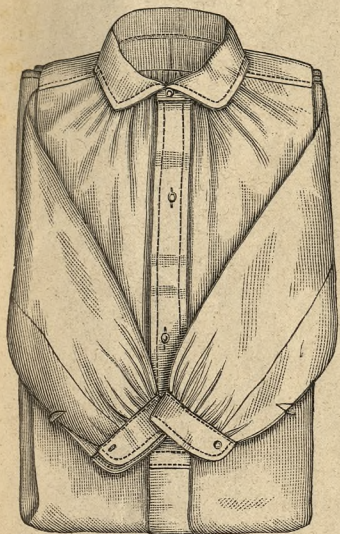
Nr 10 i 11. Półkoszulki dla chłopców (serviteurs). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr XVI, fig. 60—64.



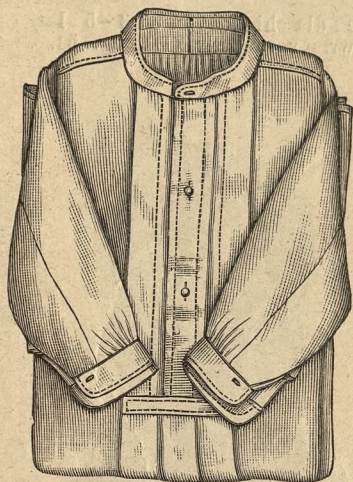
Nr 1—2. Kołnierzyki dla chłopców. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XVII, fig. 65 i 66).



Nr 3. Kaftanik trykotowy dla chłopców. (Opis pierw. strona tabl.).



Nr 13. Koszula dla chłopca od 13—15 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 35—40).



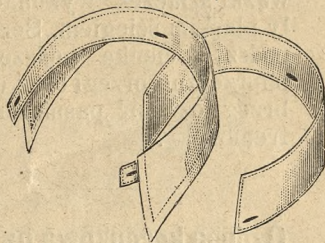
Nr 9. Koszula dla chłopca od 10—12 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 21—26).



Nr 4. Koszula nocna dla chłopców od 5—7 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 41—46).



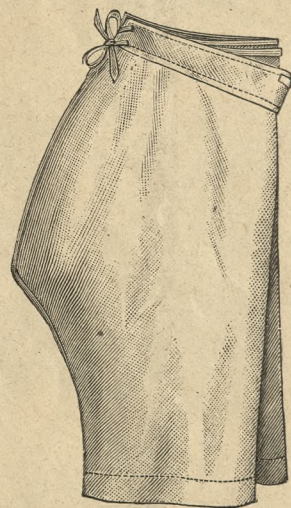
Nr 5. Koszula dla chłopczyka od 6—8 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 17—20).



Nr 6 i 7. Kołnierzyki dla chłopczyków. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 57—59).



Nr 8. Suknia dla młodej pani (do ryc. Nr 16). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 8 i 9.



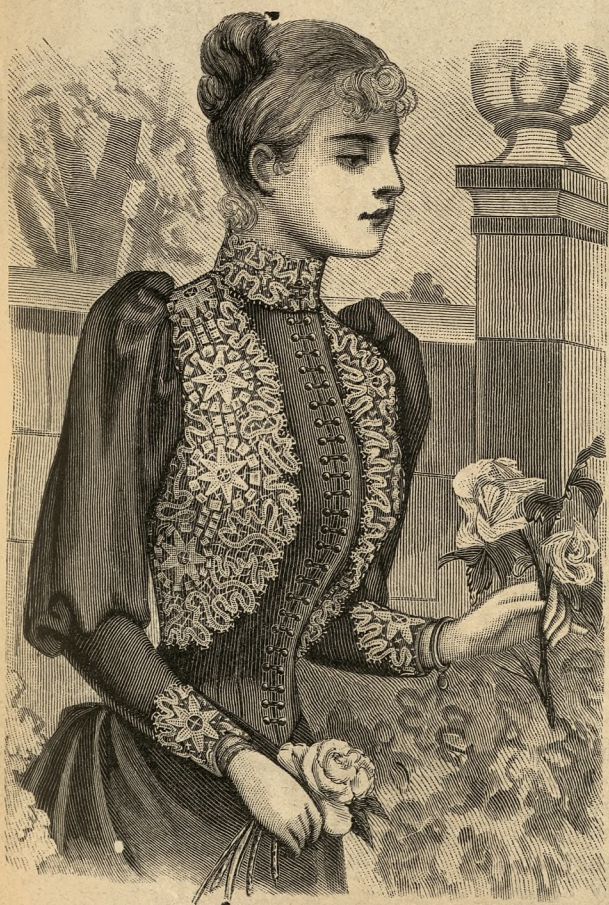
Nr 17. Majtki dla chłopca od 9—11 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 47 i 48).

żyć go cienką tekturką i połączyć z wewnętrzną częścią podwatomowaną, którą należy lekko przesyć wzdłuż linii zgięcia. Otoczyć spodnią połowę żółtym sznurkiem jedwabnym, ozdobić wierzchnią część pasmanterią wykonaną z pow. oczek, z takiegoż sznura, prócz naróżników, na których należy pentelki z pojedynczego sznura ułożyć. Do wiązania służą dwa sznurki jedwabne zakończone kwastami.

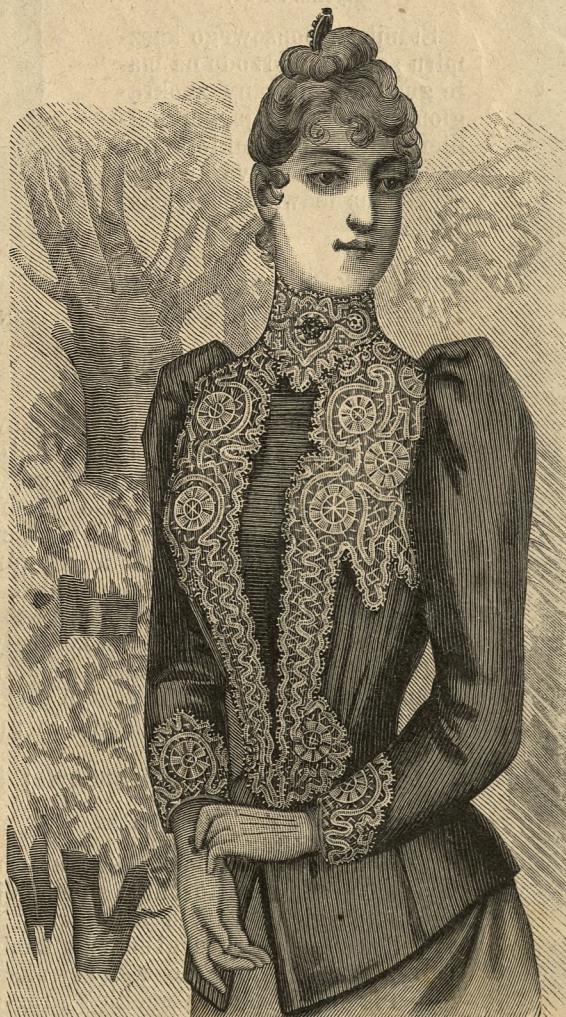
Poduszka ałtąskiem i mereszka.

Rycina Nr 12 i 13 w Bl. Nr 32.

Środek poduszki na 44 cent. wielkości napełnionej pustem stanowi haftowany kwadrat na 24 cent., którego ryc. Nr 13 przedstawia czwartą część. Haft wykonany na cienkiej kanwie „congrès”, różnokolorową filozelą i złotem, przyczem należy na kanwę przenieść podwójne linie na otaczający kontur płaskim ścięciem. Środkową figurę wykonać niebieską filozelą naprzemian: jedną gwiazdkę płaskim ścięciem, zabierając 6 nitki wysokości i 6 nitki szerokości, najbliższe zaś 6 nitki przesyć jak na wzorze, lecz na figury mereszki należy nitkę dobrze przeciągnąć, otoczenie wykonać oliwkowego koloru filozelą, zabierając 3 nitki na wysokość i zakończyć je podwójnie złożoną złotą japońską nitką, przymocowaną powierzchniami ściągami takiegoż koloru jedwabiem. Po za tem należy wykonać część tła, jest to ukośny rząd prostych krzyżyków, obejmujących 4 nitki w kierunku szer. i dług., wykon-



Nr 14. Ubranie do stanika z koronki jedwabnej, wykonanej klockową robotą.



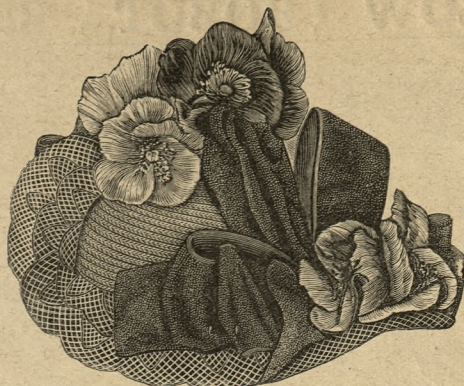
Nr 12. Ubranie z koronki (klockową robotą do stanika). Opis pierw. str. tabl.

ných brązowym jedwabiem, na-
stępne tło, również ukośne rzędy
mijających się ściegów, żółta-
wym jedwabiem. Ostatnie krzy-
żki wykonać: * 1 ścieg przez 4
nitki dług. i szerokości na lewo,
igłę w pionowym kierunku prze-
prowadzić pod najbliższymi 4 nit-
kami na prawo, na zewnątrz, tak-
ież sam ścieg jak poprzednio.
igłę w poprzecznym kierunku
przeprowadzić na zewnątrz pod
najbliższymi 4 nitkami, od * po-
wrócić, lecz przy następnych
rzędach należy jak na rycinie Nr
13 jeden z dwóch ściegów wyko-
nać na tych samych nitkach, któ-
re w poprzednim rzędzie były ściegiem obję-
te. Resztę figur wykonać różowym jedwa-
biem, częścią płaskim ściegiem, częścią me-
reszką, podłożyć haft żółtym fularem i na
cienkiej tekturze umieścić na poduszce. Spo-
dnią część poduszki pokryć żółtym atłasem,
a narożniki wierzchniej części ufalowanym
atłasem. Każda połowa ma 86 centim. dług.
a 50 centim. szer. Pasmanterye i kwasty ze
szneli zdobią poduszkę.

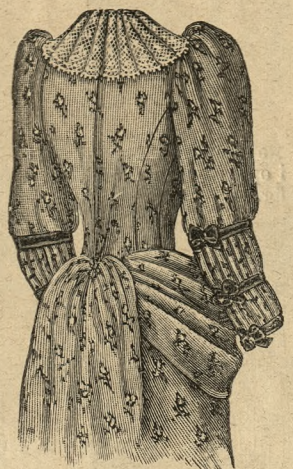
Serwetka na kanapę.

Rycina Nr 22, 23 i 24 w Bl. Nr 32.

Serwetka wykonana na kanwie „congrès“
z wrabianymi kolorowymi szlakami, mająca
140 cent. dług. a 40 centim. szer. Środkową
część zdobi szeroki szlak; brzegiem węższy
szlak wykonany różnokolorową bawełną, filo-
zelą i złotem, podług wzorów podanych na



Nr 20. Kapelusz z bastu i słomianej koronki.



Nr 15. Płecy do sukni Nr 39.



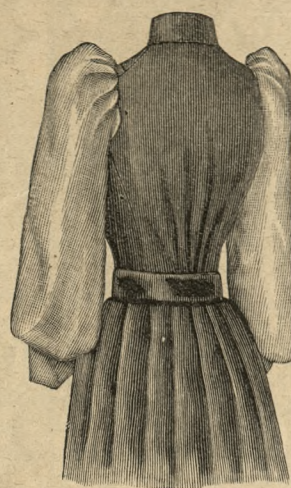
Nr 18. Fartuszek dla chłopczyka od 3—5 lat.
(Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 51.)



Nr 19. Fartuszek dla panienki od 3—4 lat (do ryc.
Nr 42—48). Płecy. Krój odwr. str. tabl. Nr XII,
fig. 49—50.



Nr 21. Kapelusz z bastu.



Nr 16. Płecy do sukni Nr 8.

w dziurkę 8, podwójny ścieg
z powrotem temi samymi pa-
rami, 1 pół-ścieg 5 i 6 parą, 1
pół-ścieg 4 i 5 parą, wpiąć
szpilkę w dziurkę 9 i zakończyć 1 pół-ścieg 7 i 8 parą, 1
pół-ścieg 9 i 10 parą, 1 pół-śc.
10 i 11 parą, wpiąć szpilkę
w dziurkę 10 i zakończyć, * 1
ścieg cerowany 6 i 7 parą, 1
ścieg cer. 5 i 6 parą i tak sa-
mo od 8 do 10 pary, pół-ścieg 6
i 9 parą, zakreć 6 i 9 parę,
cerow. śc. 7 i 5 pary, cer. śc.
8 i 10 pary, okręć. 5 i 10 parę,
1 pół-ścieg 5 i 4 parą, wpiąć
szpilkę w dziurkę 11 i zakończyć, 1 pół-śc.
4 i 3 pary, wpiąć szpil. w dziurkę 12, okr.
parami i zakończ. podw. ścieg 3 do 1 pary,
wpiąć szpil. w dziurkę 13, pomiędzy 1 i 2
parą, podw. śc. z powrotem temi samymi
parami, 1 poł. śc. 4 i 5 parą, wpiąć szp.
w dziurkę 14 i zakończ, 1 pół-ścieg 10 i 11
parą, wpiąć szpil. w dz. 15, zakończ, okręć.
11 parę, wpiąć szp. pomiędzy 10 i 11 parę
w dz. 16, 1 pół-ścieg 10 i 11 parą, wpiąć
szp. w dz. 17 i zakończyć. Cerowany śc.
10 do 8 pary, cerowany ścieg 5 do 7 pary
6 i 9 parę okręć, 1 pół-ścieg 6 i 9 parą, 1
cerowany ścieg 9 i 10 parą, 10 parę okr.,
1 pół-ścieg 10 i 11 parą, wpiąć szp. w dz.
18 i zakończyć, 11 parę okręć, wp. szp.
pomiędzy parami w dz. 19, 1 ścieg cerow.
8 i 9 parą, 9 parę okręć, 1 pół-ścieg 9
i 10 parą, wpiąć szp. w dziurkę 20, zakończyć,
1 pół-ścieg 10 i 11 parą, wp. szpilkę

Kapelusz bastowy.

Rycina Nr 21.

Toczek z bastu czar-
nego z główką na 5 c.
wysoką i wysokim wy-
giętem spiczasto z przodu
i z tyłu denkiem, ob-
szytem drutem i przykry-
tem spadającą na 11 c.
szeroką koronką z żółte-
go „crêpe - lisse“ hafto-
wanego jedwabiem i zło-
tem. Z tyłu koronka ta
ułożona w kokardę. Den-
ko otoczone jest ułożoną
w fałdy aksamitną wstąż-
ką koloru jasno-zielone-
go i ciemniejszego, z któ-
rej suta kokarda zdobi
przód kapelusza. Zielo-
ne liście bzu upięte są
z tyłu na koronkowej ko-
kardzie.

Stanik z trykotu z kamizelką.

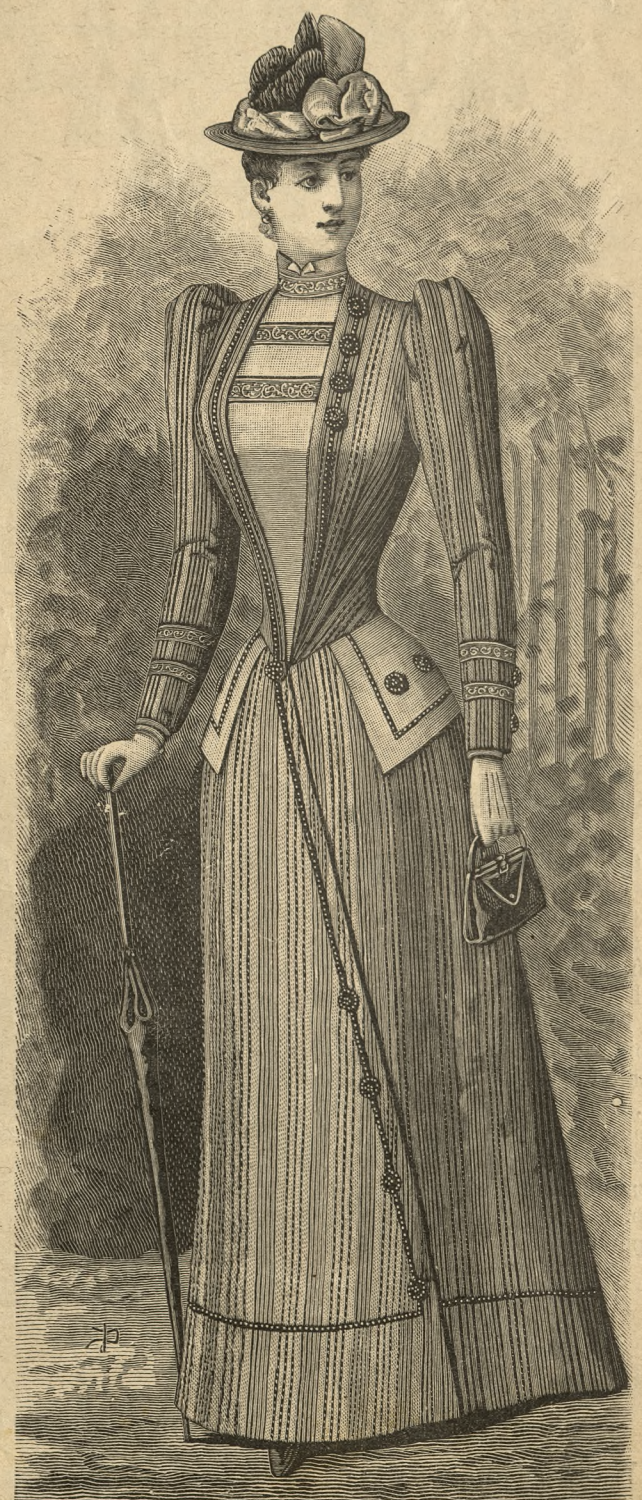
Rycina Nr 32.

Stanik z granatowego
trykotowego materiału,
zapięty z przodu na dwa
rzędy guziczków, ubrany
wylogami. Druga mała
kamizelczka z kretonu
białego w granatowe
grochy z falbanką, oraz rękawy zapięte na gu-
ziczki dopełniają ubrania żakietki.

Koronka klockową robotą do dziecinnych ubrań.

Rycina Nr 46 i 47.

Wziąć 4 pary klocków z ponsową bawełną i 7
par z kremową. Wykonać wzór klockowej roboty
podług ryc. Nr 47, umocować na wałku, wpiąć
w dziurki od 1 do 7 po jednej szpilce, zawiesić na
1 i 2 po jednej parze, na 5, 2 pary klocków z pon-
sową bawełną, na 3, 4 i 6 po dwie pary, na 7, 1
parę klocków z kremową bawełną, wykonać 1
pół-ścieg 3 i 4 parą, 1 podwójny ścieg, 3-cią przez
2 i 1 parę, wpiąć szpilkę pomiędzy 1 i 2 parą



Nr 40. Suknia z wigoniem.
(Opis odwr. str. tabl.)

ryc. Nr 23 i 24, krzyżkami,
płaskim i Holbeina ściegiem.
Kontury wykonać krzyżka-
mi, środek płaskim ściegiem
a Holbeina ścieg do cienia,
wązki szlaczek wykonać ca-
ły płaskim ściegiem. Serwetę
podszycie cienką podsze-
wką, poprzeczne brzegi oraz dolny
brzeg ozdobić pasmateria-
rą frendzelką.

Ozdoba koronkowa na stanik.

Rycina Nr 14.

Stanik z ponsowego kasz-
miru zapięty z przodu na ma-
łe guziczki, ubrany zaokrą-
gloną westką, stojącym koł-
nierzykiem i mankietami z
koronki, klockową robotą
wykonaną jedwabiem krem-
owym.

Fartuszek dla panienki od 3—4 lat.

Rycina Nr 19, 42—48. (Krój odwr.
str. tabl. Nr XII, fig. 49 i 50).

Skrajać z płóciennnej krepy piaskowego kolo-
ru podług fig. 49 jedną część złożoną wzdłuż
środku, podług figury 50 dwie części; obrabić
wszystko wązkiem, przemieścić deseni na mate-
ryał i wykonać haft gałązkowym ściegiem róż-
nego koloru filozelą do prania. W górze napierś-
nika i na ramieniu wykonać także haftowaną
figurę. Skrajać podług rysunku kieszeń, ozdobić
ją odpowiednim haftem i obszyć cały fartuszek
koronką wykonaną klockową robotą z żółtej
i ponsowej bawełny. Przyszyć guziki z tyłu,
i wykonać dziurki odpowiednio do guzików.

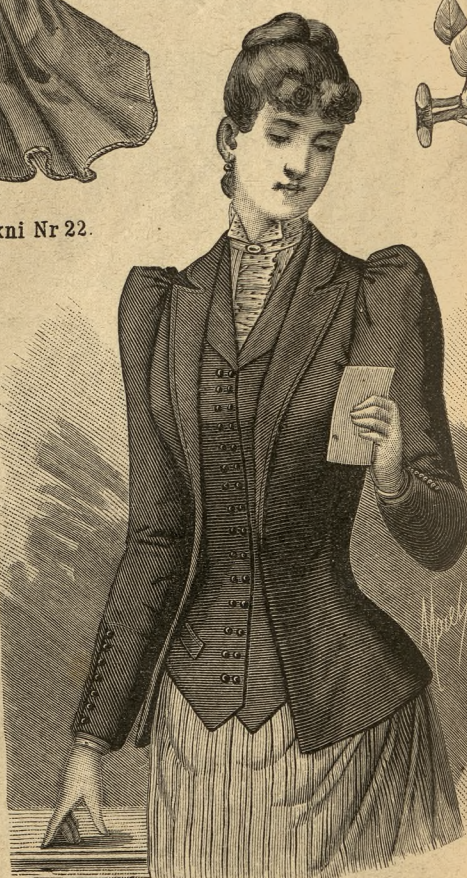
Kapelusz z bastu i koronkowej koronki.

Rycina Nr 20.

Główka z bastu piaskowego koloru na 6 cent.
wysoka, rondo z koronki słomianej z przodu
spiczasto zgięte, z tyłu kilka razy powycinane
i wyłożone, obszyte drutem, z przodu zdobi ka-
pelusz duża kokarda ze wstążki aksamitnej ko-
loru lila na 5½ cent. szerokiej, oraz żółty aksa-
mitny mak, także same kwiaty wpięte z tyłu
kapelusza przykrywają główkę. Z lewej strony



(Nr 24. Płecy do sukni Nr 22.)



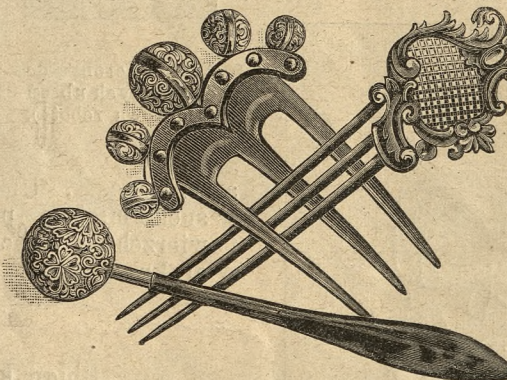
Nr 32. Stanik z trykotowego materiału z kamizelką
(Opis pierw. str. tabl.)

Nr 22. Suknia z wełnianej krepy
(do ryc. Nr 24). Opis odwr. str. tabl.

Nr 23. Suknia z haftowanego batystu
(do ryc. Nr 25). Opis odwr. str. tabl.



28. Broszki naśladowujące
gałązki kwiatów.



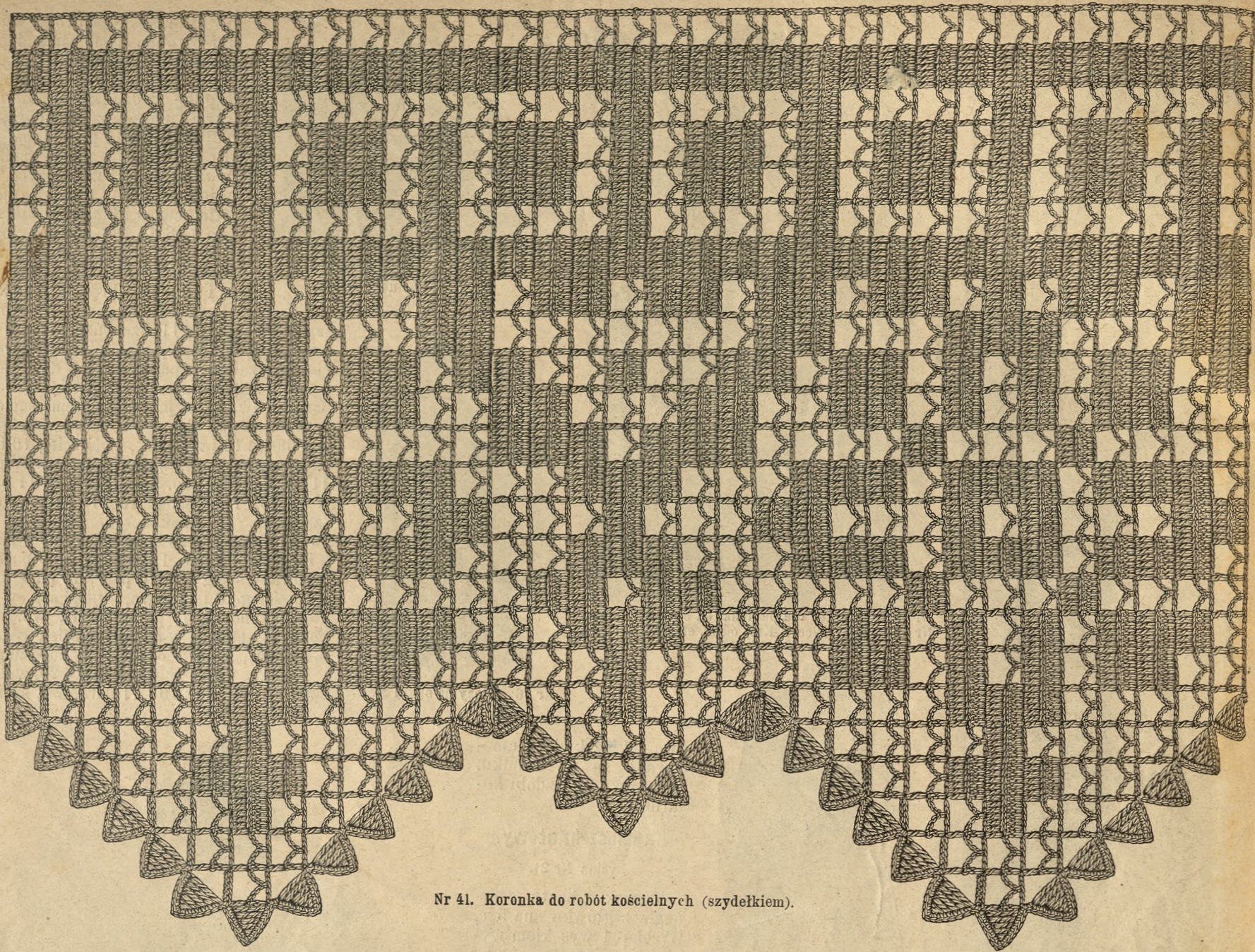
Nr 29—31. Szpilki do
ozdoby włosów.



33—38. Szpilki do włosów i do kapeluszy.



Nr 39. Suknia z muslinu wełnianego z koronką (do ryc. Nr 15).
Krój i opis pierw. str. tabl. Nr 1, fig. 1—7.



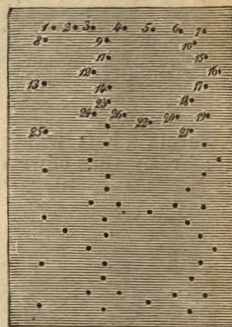
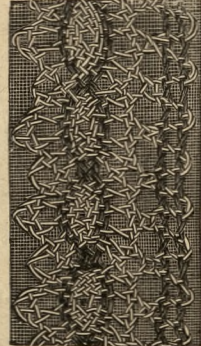
Nr 41. Koronka do robót kościelnych (szydełkiem).



Nr 45. Haft do fartuszka Nr 19.



Nr 42—44. Haft do fartuszka Nr 19.



Nr 46. Koronka do dziecinnych ubrań (klockowa robota).

Nr 47. Wzór klockowej roboty Nr 46.



Nr 48. Haft do fartuszka Nr 19.

a syrop gęsty. Ułożyć w słoiki i schować w suche miejsce, pokrywając jak zwykle powierzchnię owocu papierem umaczanym w araku.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z francuzkami kluseczkami.
2. Sztuka mięsa z chrzanem ze śmietaną.
3. Marchewka z groszkiem i grzankami.
4. Pieczeń barania z kompotem z agrestu.
5. Suflet poziomkowy.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do numeru 32 Bluszcza.

Przepisy gospodarskie.

Konfitura z zielonych pomidorów.

W Sierpniu, kiedy pomidory jeszcze zielone, wziąć funt równych małych pomidorów, zrobić syrop z $1\frac{1}{2}$ kwatarki wody, wrzucić je i gotować na małym ogniu aż trochę zmiękną. Odstawić

wylawszy na salaterkę a na drugi dzień odlać syrop, gdyby był bardzo rzadki dołożyć pół funta cukru, odrobinę tłuczonego imbiru mniej jak pół łyżeczki, lub trochę skórki cytrynowej w paseczki krajanej, gdy się syrop wygotuje, wrzucić pomidory, smarzyć jeszcze, póki się okażą klarowne